

● ROCZNICA ŚWIĘTA PRACY ● O BOLESŁAWIE TABORSKIM ●
● O BARBARZE JARUZELSKIEJ ● SPÓR O PATRIOTYZM-c.d. ● AFERA
W BIŁGORAJU ● PRZECIWIW „KONFRONTACJOM” ● LUBELSKI ZAMEK ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 27 IV - 3 V 1989 R.

NR 15

CENA 70 ZŁ

„MYŚLAŁEM, ŻE DO POLSKI
NIGDY NIE POWRÓCĘ”

PRZEKRACZANIE GRANIC

**Rozmowa
z Bolesławem Taborskim,
emigracyjnym poetą,
tłumaczem i teatrologiem
z Londynu**

— Chciałbym zapytać pana o granice, które znalazły się na trakcie politycznym, filozoficznym, poetyckim pańskiego „wędrowania”...

— Człowiek, może nie od chwili stworzenia, ale od chwili wygnania go z raju, czyli grzechu pierworodnego, istnieje po to, aby przekraczać swoje ograniczenia. Przekraczamy granice przede wszystkim własnej ograniczoności, chociaż są takie ograniczenia, które trudno przekraczać, jak choćby ludzka ułomność, śmiertelność. Ale i za to wychodzimy, jeżeli jesteśmy wierzącymi, ku wieczności.

— Trzeba przekraczać cierpienie...

— Z tego wychodzi wszystko inne. Ciągłe musimy przekraczać swoje granice.

— A na przykład granice terytorialne, między Polską a Anglią, granice emigracji?

— W sensie fizycznym przekraczałem granicę w sposób przymusowy, kiedy mnie wywieziono z Polski. Potem należało już do mnie, w którą stronę się skieruję, gdzie wyląduję, czym się zaj-

mę. Z chwilą, gdy znalazłem się w Anglii, wydawało mi się, że „granice” utrwały się, kto wie, czy nie do końca mojego życia. Kiedy przyszedł stalinizm i zapadła „żelazna kurtyna”, myślałem, że do Polski nigdy nie powrócę. Ale potem widziałem, jak ta kurtyna zaczęła się podnosić, przyszedł moment, że należało myśleć o przekroczeniu granicy własnego kraju, który przecież, gdzie bym był, był mi ogromnie bliski. I nawet kiedy jeszcze nie mogłem tego uczynić, to starałem się dotrzeć do kraju moją poezją, tym, co było dla mnie najważniejsze. Po październiku 1956 roku zacząłem nawiązywać kontakty. Gdy na wiosnę 1957 roku ukazał się w Londynie mój debiutancki tomik, to przed końcem 1958 roku wydałem pierwszy tomik w kraju. Na wiosnę tego roku mogłem już sam do Polski przyjechać.

— Czy inni też mieli takie samo zdanie o powrotnym przekroczeniu granicy?

— Nie była to sprawa łatwa dla wszystkich. Starsze pokolenie na emigracji żyło w swoim świecie. To był świat ocalenia wartości, które z Polski wynieśli, i to było dla nich najważniejsze. Ówczesne młode pokolenie emigracyjne, ja z moimi rówieśnikami,



„Pożegnanie”, kopia według Elwiro Andriollego — ze zbiorów Muzeum KUL (str. 8—9).
Fot. Waldemar Stępień

którzy pokończyliśmy studia na różnych uniwersytetach brytyjskich i irlandzkich, zjechaliśmy się w Londynie gdzieś około roku 1953—54 i zaczęliśmy wydawać wspólnie pismo „Mercuriusz Polski”. No i śledziliśmy te przemiany w Polsce, z pewnością dokładniej, niż czyniło to starsze pokolenie, czytaliśmy polskie pisma, nawiązaliśmy kontakty z takimi ludźmi, jak na przykład Jerzy Zawieyski. Będąc jeszcze na studiach podyplomowych na uniwersytecie w Bristol, przetłumaczyłem i wystawiłem jego sztukę „Ocalenie Jakuba” i od tego czasu datowała się moja z nim korespondencja. W czerwcu 1956 roku Zawieyski przyjechał na zjazd PEN Clubu; oprócz niego przybyli: Maria Dąbrowska, Jan Brzechwa, Jan Parandowski, Kazimierz Brandys. Spotkaliśmy się z nimi, Juliusz Mie-

roszewski, Zdzisław Broncel oraz kilku Mercuriuszowców. Starsze pokolenie przyjęło polską delegację z nieufnością, zarzucano nam, że to reżim opłacił to spotkanie. Po wypadkach poznańskich emigracja została utwierdzona w przekonaniu, że w Polsce dzieje się źle i z tej mąki chleba nie będzie. Ale Zawieyski powiedział nam wyraźnie, że w kraju rozpoczął się proces zmian i wypadki poznańskie go nie wstrzymują, że za kilka miesięcy prymas Wyszyński zostanie uwolniony, że Gomułka dojdzie do władzy. No i rzeczywiście miał rację, bo przyszedł Październik. Wtedy Zawieyski wziął trochę naszych maszynopisów, przedstawił w „Czytelniku” i tam przyjął tomik Jerzego Sity. Mnie wydano to-

Dokończenie na str. 6—7

relacje ZE ŚWIATA

● **OGŁOSZONY PRZEZ PREZYDENTA USA G. BUSHA** ośmiopunktowy program pomocy Polsce rozczarował — podobno — Polonię amerykańską, a z całą pewnością adresatów nad Wisłą. Zamiast oczekiwanej konkretnej sumy kredytów, program „stwarza szansę urynkowionej polskiej gospodarce”.

● **„BREW TEMU, CO PODAŁA WASZA PRASA, NIE PRZYJECHAŁEM Z CZAPKĄ PO JALMUŻNĘ”** — powiedział Lęch Wałęsa podczas spotkania z przedstawicielami włoskich central związkowych, na zaproszenie których przebywał w Italii. Przewodniczący „Solidarności” przyjęty został przez Jan Pawła II oraz prezydenta i premiera Włoch.

L. Wałęsa oczekiwany jest wkrótce w Brukseli.

● **PARLAMENT EUROPEJSKI** w przyjętej rezolucji stwierdził, iż w żywotnym interesie Wspólnoty Europejskiej leży przywrócenie dobrych stosunków z Polską i osiągnięcie porozumienia w sprawie polskiego zadłużenia, a także zapewnienie pomocy finansowej, która ożywiłaby naszą gospodarkę.

● **ASOM AMERYKAŃSKIEGO WYWIADU Z CIA** przydzielono zadanie odzyskania rakiet przeciwlotniczych typu Stinger, które w tajemniczy sposób zniknęły tuż po dostarczeniu ich rebeliantom afgańskim. W Waszyngtonie wyrażane są obawy, że broń ta sprzedana została na pakistańskim „czar-

nym rynku” i mogła trafić np. w ręce terrorystów baskijskich, irlandzkiej IRA czy też ekstremistów sikhijskich z Pendżabu.

● **W ZWIĄZKU RADZIECKIM** z dużym opóźnieniem ogłoszono wyniki wyborów deputowanych ludowych. Wbrew tradycji nie opublikowano rezultatów uzyskanych w poszczególnych okręgach, a jedynie alfabetyczne spisy nowych deputowanych. Jak się przypuszcza, w ten sposób ukrywana jest porażka poniesiona przez wysoki aparat partyjny. Klęskę rozpamiętują m.in. w Leningradzie, gdzie wybory przegrali wszyscy kandydujący sekretarze oraz przewodniczący i wiceprzewodniczący lokalnych rad.

● **W LENINGRADZIE** miała miejsce nielegalna demonstracja milicjantów. Około 100 funkcjonariuszy, zgromadzonych na placu przed Pałacem Zimowym, żądało podwyżki płac, poprawy warunków mieszkaniowych oraz gwarancji bezpieczeństwa, co wiąże się z niedawnym zabójstwem leningradzkiego milicjanta.

● **ALEKSANDER DUBCZEK**, szef Komunistycznej Partii Czechosłowacji w 1968 r., w wywiadzie dla węgierskiej telewizji powiedział ostatnio: „Gdyby Kadar i Gomułka powiedzieli »nie« Breżniewowi, nie doszłoby do interwencyjnego wejścia wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji”.

● **KIEROWANE POD ADRESEM**

relacje z KRAJU

● **NA XIV KONGRESIE SD**, który zakończył się 21 bm., mówiono m.in. o potrzebie uznania zbrodni okresu stalinowskiego w Polsce za zbrodnię ludobójstwa i pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. Postulowano także przywrócenie nazwy Rzeczpospolita Polska i naszego narodowego symbolu — orła w koronie, albowiem naród pozbawiony swych tradycyjnych odniesień nie może egzystować w poczuciu pełnej normalności. Przewodniczącym CK SD wybrano Jerzego Józwiaka. (P)

● **NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” ORAZ NSZZ ROLNIKÓW INDYWIDUALNYCH „SOLIDARNOŚĆ”** wpisane zostały do rejestru związków zawodowych.

● **KOMITET EKSPERTÓW DS. EDUKACJI NARODOWEJ** opowiedział się za skróceniem czasu wychowania przedszkolnego najwyżej do 3 lat (pozwoliloby to upowszechnić ten typ wychowania), rozpoczęciem nauki w wieku 6 lat, zwiększeniem liczby miejsc

w liceach ogólnokształcących, reformą planów i metod nauczania (decydujący głos przypadłaby nauczycielom), różnicowaniem studiów wyższych zgodnie ze światowymi tendencjami.

● **W SPRAWIE KSIĄŻKI:**

— długoletnie oczekiwanie na ukazanie się książek (od 5 do 15 lat), będących warunkiem przyjęcia do Związku Literatów Polskich, to jedna z przyczyn, że średnia wieku członków ZLP przekroczyła 60 lat;

— „Niedługo książki będziemy kupować na raty, a w domach przytwierdzać je łańcuchami” — skomentował gwałtownie rosnącą cenę książek (w ub. roku o 80 proc.) dyr. wydawnictwa „Wiedza Powszechna” Stanisław Piaśnik.

● **NA PROPAGOWANIE KULTURY** trzeba mieć pieniądze, twierdzi dyrektor naczelny „Polskich Nagrań” Aleksander Olszewski i próbuje swoją firmę przekształcić w dochodowy koncern. Eksport pieczarek, a w przyszłości uruchomienie własnej rzeźni, czy otwar-

cie restauracji z daniami MacDonalda, pozwolą zdobyć fundusze na fonografię.

● **Z POCZĄTKIEM MAJA** ukaże się pierwszy numer czasopisma strony opozycyjno-solidarnościowej, w nakładzie 200 tys. egzemplarzy. Zespołem redakcyjnym kierował ma Adam Michnik.

● **CZTERY WNIOSKI** o zezwolenie na prowadzenie kantoru walutowego trafiają — przeciętnie — każdego dnia do Wydziału Dewizowego NBP.

● **KWOTA DEWIZ** przeznaczona na ten rok dla zawodowej grupy polskich kolarzy przy firmie „Exbud”, choć to dopiero kwiecień, jest już bliska wyczerpania.

● **MUZEUM SZTUKI JAPANEJSKIEJ** powstanie w Krakowie. Inicjatorem tego przedsięwzięcia jest Andrzej Wajda. Ofiarował on na ten cel 350 tys. dolarów, przekazanych mu w formie nagrody na festiwalu w Kioto.

● **ZA USUNIĘCIE** drzewa rosnącego na terenach użyteczności publicznej, obowiązuje opłata od 2400 do 24 tys. zł (za każdy centymetr obwodu pnia). Dla przykładu: za usunięcie 50-letniej lipy, osiągającej w tym wieku obwód pnia 80–90 cm, trzeba uiścić karę ok. 2 mln zł.

— o czym informowaliśmy — odnalezione zostały spisy oficerów zamordowanych w Katyniu. Z prośbą o odpisy tych dokumentów zwrócił się m.in. Instytut Historii im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku.

● **CYSTERNY Z ETYLINĄ** mijają Lublin albo spóźniają się. Dlatego też w dystrybutorach panuje susza; kolejki czekających na zatankowanie odbierają wiarę w kolejne optymistyczne prognozy dyrekcji CPN.

● **BANK PKO SA** — także w Lublinie — stał się wreszcie normalnym bankiem, to znaczy nie tylko miejscem, w którym przechowuje się pieniądze, ale również i pożyczyc. Jak informuje dyr. Maria Paplińska, na kredyt mogą liczyć (chyba jak na razie?) zajmujący się produkcją i usługami eksportowymi lub zamierzający inwestować w sferze proeksploatacyjnej. Wysokość oprocentowania ustalać będzie „centrala”.

● **LUBELSKI ODDZIAŁ ZWIĄZKU SYBIRAKÓW** liczy już przeszło 600 osób. W dniach dyżurów (wtorki i czwartki w godzinach 16–18, adres: Rynek Starego Miasta 18, pokój 14, telefon 220-19) zgłaszają się dalsi kandydaci na członków z terenu całego województwa. W maju br. przewidziane jest zebranie wyborcze oddziału.

Związek Sybiraków czyni starania o zaliczenie czasu pobytu w więzieniach, obozach i na zesłaniu w ZSRR do podstawy wymiaru rent i emerytur oraz o uzyskanie dla sybiraków uprawnień inwalidów wojennych.

● **W ARCHIWUM PCK** w Lublinie

relacje z REGIONU

● **PODJĘTA ZOSTAŁA DECYZJA** o powołaniu w Lublinie kolejnej spółdzielni mieszkaniowej. Inwestować będzie ona w rejonie Konopnicy i stąd jest nazwa — „Konopnica”. Członkami jej zostanie ok. 15 tys. osób zarejestrowanych w WZSM, a dla których zabrakło miejsca na Felinie i w Rudniku. Przygotowania do podjęcia budowy pierwszych domów potrwać kilka lat.

● **ZWIĄZEK MŁODZIEŻY DEMOKRATYCZNEJ** zarejestrowano w Lublinie. Ta ogólnopolska organizacja polityczna młodzieży stawia sobie za cel kształtowanie i artykułowanie postaw odpowiedzialnego zaangażowania obywatelskiego.

● **W TYM ROKU** w Lublinie (podobnie jak i w innych miastach naszego regionu) nie będzie pochodu 1-majowego. W jego miejsce zorganizowany zostanie wiec na pl. Litewskim, a po nim imprezy.

● **SKROMNIEJSZY** niż w latach poprzednich program przygotowany jest z okazji tegorocznych Dni Kultury Oświaty, Książki i Prasy. Najważniejszą imprezą tegorocznych Dni w naszym regionie będzie międzynarodowa sesja naukowa nt. „Druha wojna światowa w literaturze polskiej i obcej” (1–7 maja), zorganizowana w Chełmie i Tarnobrzegu przez Towarzystwo im.

Sienkiewicza przy współudziale UMCS i WBP w Chełmie.

● **10 MAJA**, na początek matury, pisemnym egzamin z języka polskiego. Zamierzający ubiegać się o przyjęcie na Wydział Chemii UMCS mogą próbować zdać za jednym podejściem i egzamin dojrzałości, i ten dający in-deks.

● **NA ZAPROSZENIE** dwu naszych uniwersytetów: UMCS i KUL, gościł w Lublinie Tadeusz Konwicki. Autor „Małej Apokalipsy” (ukazała się właśnie po latach nakładem oficjalnej oficyny) w przeuroczej gawędzie opowiadał m.in. o Wilnie Litwinów i Polaków, swojej twórczości literackiej i filmowej. Za kilka tygodni gotowa będzie jego filmowa wizja „Dziadów”, zrodzona z potrzeby serca i okoliczności stanu wojennego.

● **TRWA STUDENCKA WIOSNA KULTURALNA**. Na scenach i scenkach najczęściej od piosenkarzy i muzyków. 27 kwietnia (wszystkie imprezy w auli prawa UMCS) obiecała przyjazd Krystyna Prońko. W maju natomiast Elżbieta Adamiak i Marek Grechuta. Organizatorem tych imprez jest lubelski Alma-Art. Dodajmy, że w domu studenckim „Helios” czynna jest, połączona ze sprzedażą, wystawa malarstwa lubelskich studentów.

● **W ARCHIWUM PCK** w Lublinie

— **WIERZE** w człowieka — powiedziała Barbara Jaruzelska w wywiadzie dla „Newsday”. — Wierzę w jego rzeczywisty humanitaryzm, ukryty za parawanem powierzchownych reakcji. To nie poglądy polityczne łączą ludzi; łączy ich zdarzenia losowe: choroba, ból.

Słowa są autentyczne, lecz mój zapis nie będzie bezpośredni. Kiedy uzyskałem zgodę na wywiad z doktor Jaruzelską i pozostała do ustalenia jedynie kwestia terminu, miałem nadzieję, że kolejny obszar tabu odejdzie w przeszłość. Dotąd bowiem życie rodzinne przywódców państw socjalistycznych podlega szczególnej ochronie; jak gdyby nie istniało, jakby mieściło się w obszarze tajemnicy państwowej. O żonie Jurija Andropowa dowiedziano się w chwili, gdy przybyła na jego pogrzeb. Barbara Jaruzelska tłumaczy ten fakt niechęcią eksponowania się, obroną przed natarczowością i brakiem dyskrecji. Udział żon w życiu politycznym na wzór zachodni nie napotkałby, jej zdaniem, społecznej aprobaty w Polsce.

— Myślę, że pomagam mężowi bardziej przez bycie sobą — powiedziała. — Posiadam szacunek ludzi, nie mam z nimi konfliktów.

Na razie więc do naszej rozmowy nie doszło. Ale już z pewnością i w tym względzie idzie nowe. Zasluga to Raisy Gorbaczow i właśnie Barbary Jaruzelskiej. Rozpoczynając cykl prezentacji sylwetek żon sławnych Polaków, zmuszony do sięgnięcia w tym przypadku do jednego wywiadu prasowego, jakiego pani Barbara udzieliła (amerykańskie pismo „Newsday” rok 1985), zauważyłem, że nazwano ją tam „powiewem świeżego powietrza w polskich kręgach władzy”. Moje zaś przywiązanie do tematu uzasadniam chęcią przekory wobec odprysków starego i swoistym zadośćuczynieniem za miesiące starań.

REWOLUCYJNE znaczenie wielkiej wojny narodowej w Stanach Zjednoczonych (1861–1865), toczącej się o zniesienie niewolnictwa, legło u podstaw aktywności tamtejszej klasy robotniczej i było początkiem walki o jej prawa obywatelskie i klasowe. W tym czasie europejska klasa robotnicza i jej partie, skupione w I Międzynarodówce przeżywały okres względnej stabilizacji. Uporządkowano bowiem ustawodawstwo, które my nazywamy dziś ustawodawstwem pracy i socjalnym, osłabły nieco polemiki wokół teorii walki klasowej i jej metod (choć nie brakło zawsze aktywnych anarchistów), zaś marksizm jeszcze nie upowszechnił się jako „narzędzie” walki o prawa polityczne. W Europie wschodniej kapitalizm jako nowa formacja społeczno-ekonomiczna rozwijał się wolno, „przerastał” poprzez istniejącą strukturę feudalną i złożone stosunki polityczne, zdominowane przez „Święte Przymierze” polskich zaborców z caratem — zandarmem Europy na czele...

W tych okolicznościach zdecydowano przenieść siedzibę I Międzynarodówki za ocean, co stało się bezpośrednią przyczyną zakończenia tam jej działalności (1876), pomimo że właśnie w USA burzliwy rozwój kapitalizmu ujawniał społeczne następstwa, pośród których trudne położenie klasy robotniczej, jej wyzysk i poniżenie stawały się rewolucyjną przesłanką walki.

Wspomnę jeszcze jedyne w swoim rodzaju procesy zachodzące pośród tej klasy, złożonej z europejskich emigrantów wielu narodów — procesy „wyrównania” ich świadomości narodowej (czyli formowania tożsamości własnej), procesy tworzenia świadomości klasowej (robotniczej), z elementem więzi zawodowej, branżowej i wreszcie procesy amerykanizacji (asymilatorskie, tworzenie świadomości obywatelskiej), które trwały jednocześnie z różnym natężeniem i jedną wspólną cechą — wysoką aktywnością społeczną ludzi, ich wrażliwością i determinacją w walce o byt. Są to przesłanki, które przybierały różną postać organizacyjną, łącząc przywieziona z Europy narodową tradycję walki klasowej (także patriotyczną wielu narodów tradycję

Oprac. Zbigniew Miazga

ŻONY SŁAWNYCH POLAKÓW: BARBARA JARUZELSKA WIARA W LUDZI I POCZUCIE AUTONOMII

Wiesław Horabik

Wywiad w „Newsday” prezentuje sylwetkę Barbary Jaruzelskiej w sposób dość powierzchowny. Jedną z cech jej osobowości pozostaje wyraźnie i od początku czytelna — poczucie autonomii. Jej dążenie do zachowania osobistej integracji są zadziwiająco skuteczne.

— Czuję się niezależna — powie amerykańskiej dziennikarce, Kay Withers. — Nawet nie dopuszczam wątpliwości, bym mogła porzucić realizację osobistych i profesjonalnych celów. Mąż jest silną osobowością, ale i mnie nie brakuje temperamentu.

Jedną z pracownic Uniwersytetu Warszawskiego, zapytana o drogę do gabinetu „pani premierowej” (Wojciech Jaruzelski sprawiał jeszcze wówczas funkcję szefa rządu), oniemiała ze zdumienia: „Do czyjego gabinetu?” — zapytała. „No, doktor Jaruzelskiej?” — „Aha” — dopiero wówczas nastąpiło olśnienie.

Jedyną dziecko inżyniera leśnika wychowała się pani Barbara na Lubelszczyźnie „wśród drzew i zwierząt”. Do dziś chętnie ucieka na obrzeża cywilizacji, a wraz z córką Moniką urządziły w garażu swoiste „schronisko dla czworonogów. („Nie posiadamy samochodu”).

Początkowo Barbara Jaruzelska studiowała balet, potem tańczyła krótko profesjonalnie, by w rezultacie zająć się historią sztuki i filologią germańską. Kiedy w 1960 roku poślubiła Wojciecha Jaruzelskiego, był on najmłodszym generałem w polskiej armii, a ona kończyła właśnie pracę nad przewodem doktorskim. Dziś jest starszym wykładowcą w Instytucie Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego. Posługuje się czterema obcymi językami: niemieckim, rosyjskim, angielskim i szwedzkim. Elegancka, energiczna i bezpośrednia, emanuje wysoką kulturą osobistą i naturalnością w zachowaniu. Nie cierpi syndromu „zlo-

tej klątki”, przypisanej ludziom z „wyższych sfer”.

— Przedtem mogłam poruszać się swobodnie — mówi — jak każda przeciętna osoba. Bardzo lubiłam robić zakupy, chodzić na pchli targ, nawet postać czasami w kolejce. Nikt mnie nie znał. Teraz obawiam się, że mogłabym zostać rozpoznana. To mi się naprawdę nie podoba.

Oczywiście, ceni sobie także dobre strony swej wyjątkowej pozycji. Przed uniwersyteciem czeka na nią samochód z kierowcą, a z materialnego punktu widzenia warunki jej życia są bez wątpienia wyższe od przeciętnych. Mieszka od lat w tym samym piętrowym domu w południowej dzielnicy Warszawy, posiada ten sam letniskowy domek na Mazurach.

Wobec dorastania córki i wciąż rosnącego zapracowania męża oddała się jeszcze jednej życiowej pasji. Wraz z przyjaciółką zorganizowały kurs „choreoterapii” przy Warszawskiej Szkole Baletowej. „Oferujemy lżejsze ćwiczenia baletowe — mówi — rodzaj jogi, sztuki oddychania i relaksu. Zostawiamy nasze troski i stesy na zewnątrz, by po prostu wzajemnie się zaakceptować”.

Pani Barbara interesuje się także malarstwem. Posiada ciekawą kolekcję obrazów, a szczególną sympatią darzy impresjonistów. Moje pytanie nawiązujące do różnorodności jej pasji miało brzmieć: „Pani życie rozwija się niejako na dwóch płaszczyznach, w dwóch dość odległych od siebie światach. Jeden to świat codziennych obowiązków naukowca, kobiety pracującej, realizującej swe rozliczne aspiracje zawodowe, drugi zaś to świat wielkiej polityki, ceremonialu dyplomatycznego, świat niecodzienności. Jest i trzeci świat, nie mniej, jak sądzę, ważny, a więc świat rodziny i domu. Czy taka dwoistość, a może nawet troistość życia nie bywa kłopotliwa? Ja-

kie rodzi stesy, a jakie oferuje radości? Który z tych światów najlepiej zaspokaja Pani pragnienie osobistej satysfakcji?”

Barbara Jaruzelska w wywiadzie dla „Newsday” odmówiła odpowiedzi na pytania o charakterze ideologicznym i politycznym. Nawiązała jednak do przeżyć stanu wojennego, o którym wprowadzeniu dowiedziała się — jak większość Polaków — z telewizji.

— To był trudny okres, gdyż wielu ludzi nie chciało zrozumieć, co mogła oznaczać bratobójcza walka. Pamiętam dobrze ostatnią wojnę. Straciłam w niej ojca.

(Barbara Jaruzelska jest częstym gościem na lubelskim cmentarzu).

W owym czasie niektóre z jej kontaktów towarzyskich utraciły dawną zażyłość. Na pytanie o kłopoty córki w tym okresie odpowiada: „Były to problemy takie same, jakich doświadczali wszyscy inni Polacy. Monika ma jednak własne zdanie i nie wykazuje skłonności, by się mu sprzeniewierzać”.

Barbara Jaruzelska, nawiązując do swej opinii o humanitaryzmie ludzkim, dodaje, że również jej mąż podziela to zdanie.

— W tym względzie potrafi być czasami niepoprawny. Wierzy w ludzi, lubi przebywać w ich towarzystwie. Próbuje ich zrozumieć i wytłumaczyć sobie ich racje.

Pani Barbara z pewnością nie należy do kobiet, które zaakceptowałyby bez zastrzeżeń etykietkę „żony sławnych mężów”. W obszar wielkiej polityki wkracza sporadycznie i z konieczności. Jej udział w oficjalnych ceremoniach nie ma charakteru pozostawiania w „cieniu męża”. Obserwowałam uważnie jej naturalny sposób bycia podczas wizyty Michaila i Raisy Gorbaczow w Polsce. Zauważyłem wówczas, że przebywanie wśród ludzi mających decydujący wpływ na losy świata nie

jest dla niej zajęciem niosącym uczucie czyjejkolwiek, jednostronnej dominacji; prędzej już zjawiskiem prowokującym intelektualnie. W podobnych kontaktach potrafi znaleźć miejsce na spontaniczność i żywiołowość normalnych ludzkich odruchów.

Towarzyszyła mężowi w kilku zagranicznych wizytach, z pełnym oddaniem realizując swój własny program. W przypadku USA było to, między innymi, Museum of Modern Art oraz spektakle w American Ballet Theatre i The New York City Ballet.

Wydaje się, że z rodzinnego domu przeniosła pani Barbara na życie własnej rodziny zewnętrzna niezależność jej członków i wewnętrzną spójność w obliczu trudności. Stąd zapewne wynika jej ogromna aktywność życiowa.

Do swojej pracy podchodzi w sposób dokładny i wkłada w nią maksimum energii. Jakby chciała dorównać w tym legendarnej już pracowitości małżonka. Zapytana o życzenia, jakie mogłaby skierować do Polaków, skoncentrowała się właśnie na tym aspekcie zbiorowego życia.

— Jako żona polskiego generała, życzyłabym wszystkim Polakom tego, co jest dobre dla Polski. Oznacza to lepszą, efektywniejszą pracę i większe w nią zaangażowanie. Same bowiem dobre chęci nie wystarczą, by było lepiej. Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło, jak powiada przysłowie.

Jeśli nawet niektóre fakty uległy zmianie w ciągu tych czterech lat od daty udzielenia Kay Withers wywiadu (embargo na informacje z tego obszaru trwa), to aktualność ostatniego sądu pozostaje bez wątpliwa niezmienna.

Na wywiad z panią Barbarą przegotowałem osiem pytań.

POLSKIE I NIEPOLSKIE DZIEJE CZERWONEGO SZTANDARU ROCZNICA ŚWIĘTA PRACY

Mieczysław Wieliczko

walki wyzwolenczej) z formami powstającymi na miejscu, amerykańskimi. W latach 1880—1886 było tu ponad 4 tysiące strajków z udziałem ponad 1,5 miliona robotników.

Wyróżniały się w tej walce dwie organizacje: Szlachetny Zakon Rycerzy Pracy (Noble Order of the Knights of Labor, 1869; początkowo organizacja tajna, rytualna, wzorowana na masonerii, od 1878 r. jawna, łącząca robotników różnych branż bez różnicy płci i rasy) oraz Amerykańska Federacja Pracy (American Federation of Labor, 1881, już na zjedzie założycielskim w Pittsburgu skupiła ponad 500 tys. robotników, głównie z przemysłu ciężkiego), które rywalizując z sobą o poparcie mas, kierowały ich walką o prawa społeczne i polityczne. Strajk był w tej walce bronią najbardziej powszechną.

Jednym z przodujących ośrodków tej walki było Chicago, gdzie na dzień 1 maja 1886 r. przywódcy Federacji (AFL jest obecnie jedną z czołowych central związkowych w USA, u nas znana w ostatnich latach z poparcia dla „Solidarności”, wielokrotnie komentowanego przez J. Urbana) zapowiedzieli kolejny strajk. Władze stanowe wydały już wcześniej zakaz demonstracji ulicznych, stąd zgromadzenie znacznej liczby sił porządkowych na placu Haymarket.

O następnych zaś wydarzeniach do podręcznika historii trafiła już tylko taka wzmianka „...podczas wielkiego wiecu robotniczego raczona została bomba na policjantów, rzucił ją prawdopodobnie prowokator lub anarchista. Nastąpiły aresztowania, wielki proces, zapadło 7 wyroków śmierci...” (Janusz Pajewski, „Historia Powszechna 1871—1918”, s. 201—202).

Brak w tym zapisie kilku drobnych szczegółów, i nic dziwnego, bowiem tylko fakty najważniejsze znajdują się w monografii. A było tak: rozjuszona

tym zamachem policja zaatakowała pódchód robotniczy — padli zabici i ranni. Jeszcze 3 i 4 maja trwały na ulicach Chicago krwawe starcia i pogromy. Ilu robotników zginęło? Nikt nie ustalał, bo marli też z ran... W pogrzebach niejednokrotnie niesiono znaki ich meczeństwa i bestialstwa policji — pokrwawione i postrzelane koszule zatknięte na drzewcach, i te najbardziej ludzkie barwy — czerwone — stały się pierwszym robotniczym sztandarem.

Potem był „mond sądowy” przywódców strajku. W jego wyniku Persons, Spies, Schmit i Fischer zostali straceni na krześle elektrycznym — pomimo powszechnego i międzynarodowego protestu!

Były to fakty tak poruszające światową opinię publiczną, że odąd dzień 1 maja uważano za święto robotnicze i kiedy w stulecie szturm Bastylii zebrały się w Paryżu 14 lipca 1889 r. kongresy robotnicze, w tym założycielski II Międzynarodówki, dla uczczenia na zawsze wypadków w Chicago postanowiono ten dzień obchodzić jako Święto Pracy. Oficjalnie od 1890 r. rozpoczęła się ta tradycja, łącznie z honorowym użyciem czerwonego sztandaru jako barwy klasy robotniczej, o czym też postanowił kongres paryski.

Niemal równocześnie, bo w święto Wniebowzięcia w 1889 r., papież Leon XIII ogłosił list „Quamquam pluries”, będący jak dotąd najbardziej doniosłym dokumentem papieża o cziś św. Józefa-robotnika, którego patronalne święto ustanowił potem papież Paweł VI na dzień 1 maja. I tak powstała najbardziej pluralistyczna formuła Święta Pracy, w której się mieści po części tradycja marksistowska i katolicka, a nade wszystko humanistyczna, o godności pracy.

Jest z tym związana też polska tradycja i to szczególnie dotycząca barwy czerwonych.

Początki urzeczywistniania myśli socjalistycznej na ziemiach polskich wiązały się także z Lwowem, gdzie Ludwik Waryński, zbiegły z zaboru rosyjskiego w jesieni 1878 r., rozpoczął żywą działalność organizacyjną przerwana aresztowaniem 8 lutego 1879 r. Po rocznym śledztwie postawiony został w stan oskarżenia w Krakowie wraz z grupą 35 innych socjalistów. Sąd przysięgłych uwolnił wszystkich z zarzutów „zbrodni zakłócenia spokoju publicznego i występku podburzenia”.

Te wydarzenia m.in. oraz czynna działalność w ruchu kółek socjalistycznych stały się inspiracją artystyczną dla Bolesława Czerwińskiego (1851—1888), pisarza, dziennikarza i propagatora idei socjalistycznych (współautora „Programu Socjalistów Galicyjskich”, ogłoszonego w styczniu 1881 r. we Lwowie), do napisania wiersza, którego pierwszą strofą przypomnę:

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami będziemy wtedy my!
Dalej więc, dalej więc, wzniesmy śpiew,
Nasz sztandar płynie ponad trony,
Niosąc tam zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłości rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew!

Niemal natychmiast powstała melodia, powstała pieśń — sławna pieśń „Czerwony sztandar”, która zyskała niebywałą popularność. Nie jest rozstrzygnięte autorstwo melodii. Być może pochodzi z francuskiego hymnu komunistów (autorstwo Achillea Le Roy) lub pieśni szwajcarskiej (anonimowej), bowiem tekst Czerwińskiego ukazał się też w Genewie w tomiku poezji rewolucyjnej pt. „Czegóż chcą?” w 1881 r. (Chyba jednak wiadomo i to, że w kolejnym procesie socjalistów krakowskich prokurator pytał Jana Kozakiewicza:

— To pan jest autorem tej podburzającej pieśni?

— Tylko melodii, panie prokuratorze, tylko melodii.

— A kto napisał tekst?
— Nie wiem — (i „porozumiewawcze zerknięcie na towarzyszy” — zanotował protokolant). A dalej:
— Nie wie pan? — woła podniesionym głosem. — Wyprowadzić oskarżonego! Może sobie przypomni. Ma dużo czasu!

Pieśń stała się niemal natychmiast hymnem robotniczym i to powszechnie znanym. Świadczą o tym bardzo liczne fakty i relacje o represjach za jej publiczne wykonywanie. Warszawski generał gubernator Skallon wydał np. zarządzenie: „Za wykonywanie rewolucyjnych hymnów »Czerwony sztandar« i innych mają być ukarani zamknięciem w więzieniu do trzech miesięcy lub karą pieniężną do 3 tysięcy rubli”. Inny zaś Rosjanin napisze (Mantynow, „Zapiski socjaldemokraty”): „Polscy robotnicy zadziwili nas mistrzostwem w śpiewie chóralnym!”

W 1900 r. „Czerwony sztandar” został przetłumaczony na język rosyjski, a potem ukraiński „Czerwony prapor”, niemiecki „Die rote Standarte”, z tego tekstu węgierski „Vörös zászló” a potem w 1901 r. bułgarski „Czerwenetogo znamia” i także serbski „Czerwenetogo znamje”, w 1909 r. rumuński „Steagul rosu” i czeski „Růdy prápor” a następnie angielski „The Standard of Revolt” i żydowski (w jęz. jidysz, 1928) „Unzer Lid”.

Najczęściej jednak była to pieśń śpiewana w Polsce, także począwszy od pogrzebu jej twórcy na Cmentarzu Lyczakowskim, o czym „Gazeta Narodowa” (nr 253, 3 XI 1907 r.) pisała: „Socjaliści nawet Dnia Wszystkich Świętych, tak poważnego i tak pamiętnego dla każdego Katolika i Polaka, uszanować nie umieli. Na cmentarzu rozległy się tony »Czerwonego sztandaru«, pieśni chyba nie religijnej, kłócąc poważny nastrój skupienia”.

Na cokołe nagrobnym Czerwińskiego w dowód popularności jego dzieła umieszczono w 1894 r. specjalne epitafium z napisem: „Żyje wraz z pieśnią”. Wnikliwy badacz, Stanisław S. Nideja, autor pomnikowej monografii cmentarza na Lyczakowie, wzmiankuje o Czerwińskim dwukrotnie, ale nie napisze o tym epitafium, choć zamieszczył aż 293 inne fotografie w swojej książce. Czyżby epitafium Czerwińskiego nie zobaczył?

POLSKA NORMA WEDŁUG KWIATKOWSKIEGO

Waldemar Piasecki

W CZTERNASTYM numerze „Relacji” ukazał się utwór Tadeusza Kwiatkowskiego poświęcony memu felietonowi „Ostatnia panorama Rzeczypospolitej” z piątego numeru pisma. Refleks ten jest godny odnotowania. Można by dociekać, czy autor czytuje tygodnik co kilka tygodni lub może trzeba mu paru miesięcy na ogarnięcie rozumem treści pisanych po polsku. Moim zdaniem, chodzi jednak o co innego. T. Kwiatkowski liczy na słabą pamięć Czytelników i serwuje im swoje „dygresje” odpowiednio późno, by poprzez „opis” tego, co kto inny pisał, móc na tym przekazywać budować swoje piramidy kłamstwa i głupstwa. Po prostu najpierw zarzuca mi coś, co sam wymyśla, a potem z tym walczy. Stara się bardzo. Na trzytygodniowy felieton reaguje na stronach dwunastu, uważając, że Czytelników zagada i zrobi im z mózgu wodę. Postaram się o wywód znacznie krótszy.

Manipulacje zaczynają się od pierwszego akapitu. Kwiatkowskiemu felieton „myli” się z artykułem, a tytuł z nadtytułem. „Uznaje”, że nadtytuł „Polska Norma” jest specjalnie wymyślony dla tego tekstu, co w zestawieniu z „treścią artykułu ma niewątpliwie sens ironiczny”. To go właśnie skłania do reakcji. Udaje, że ani wcześniej, tj. przed numerem piątym „Relacji”, ani później z „Normą Polską” się nie zetknął. Czyli, używając jego słów, „napis w obwódce” zawierający te dwa słowa jest czymś specjalnym i na tę akurat okazję. Jest to pierwsza bzdura.

Dalej wmawia mi, że w swoim felietonie stwierdziłem, że bitwa pod Kockiem była mało znaczącym epizodem. Gdzie to piszę konkretnie, tego już nie podaje. Po co? Tymczasem jedynym określeniem, jakiego używam wobec wydarzeń rozgrywających się pod Kockiem w dniach 2-5 października 1939 r., jest: „ostatnia regularna bitwa wojny obronnej”. Nie sądzę, aby znaczyło to tyle samo, co „mało znaczący epizod”. T. Kwiatkowski woli jednak czytać między wierszami, a nie tam, gdzie się odcisnęła farba drukarska. Dlatego więc „ustaliwszy”, że deprecjonuję, przystępuje do zwalczania.

Jego przeświadczenie o tym, że lekceważę postawę polskiego żołnierza w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej, bierze się stąd, iż nie przypisuję przesłaniu, jakie ona niesie, rangi równej przesłaniu Panoramy Racławickiej. Zdaniem Kwiatkowskiego, „obie bitwy mają wiele istotnych podobieństw i niosą przesłanie równie doniosłe”. W tym miejscu, gdzie w zgodzie z logiką powinna paść odpowiedź mentora, jakież owe są podobieństwa i przesłania, otrzymujemy passus: „nie będą oczywiście dokonywał analizy porównawczej obu wymienionych wydarzeń historycznych”. Po co? Tak jest, jak się T. Kwiatkowskiemu zdaje i to powinno wystarczyć.

I dalej następuje referat tego, co autor o bitwie kockiej przeczytał, utrzymany w tonie dramatycznym. Ten patos ma uzasadnić, jakim to patriotą Kwiatkowski jest, a ja niestety nie. Zabieg ten obliczony jest na odwrócenie uwagi Czytelnika od istoty felietonu, czyli od sensowności budowania Panoramy Kockiej (co do którego notabene sam ma wątpliwości), a skierowanie owej uwagi w rejony emocjonalne, gdzie manipulowanie pojęciami: honor, ojczyzna, patriotyzm (dla wzmocnienia efektu u Kwiatkowskiego z dużych liter) może przynieść oczekiwany przezeń skutek: zdyskredytowanie publikacji i jej autora.

T. Kwiatkowski sięga kilkakrotnie po ten rodzaj socjotechnicznej manipulacji emocjami. Dla wzmocnienia efektu patriotycznego, płynącego z opisu bohaterskich walk wojny obronnej, sięga, dla skontrastowania go z czynami — jego zdaniem — haniebnymi, dziejącymi się na innych teatrach wojennych, po przykład samozatopienia floty francuskiej w Tulonie, 27 listopada 1942 r. Uznaje to za „nie tylko akt tchórzostwa, lecz także — i przede wszystkim — zbrodnię wobec narodów okupowanych przez Hitlera”. Według Kwiatkowskiego, Francuzi posiadali pełną swobodę w dysponowaniu flotą i mogli jej użyć przeciwko

Niemcom. Niestety, okazali się zwykłymi tchórzami, czy nawet zbrodniarzami. A nieco dalej informuje, że w tym samym czasie w okupowanej Polsce ginęło trzy tysiące ludzi dziennie. Oczywiście takie zestawienie informacji ma skierować negatywne emocje przeciwko Francuzom, zwłaszcza iż za chwilę dowiadujemy się, że „Armia Polska nie popełniała takich zbrodni”.

To, co wypisuje T. Kwiatkowski, ma jednak luźny związek z prawdą historyczną. Tulon istotnie od lata 1940 roku był bazą floty francuskiej rządu Vichy. Kiedy w 1942 roku Niemcy zajęli całość terytorium Francji, zażądali natychmiastowego przekazania im okrętów francuskich i skierowali do miasta korpus pancerny (naturalnie nie uprzedzając o tym). Pojawienie się czołgów zaskoczyło Francuzów, mieli do wyboru: albo decydować się na chaotyczną próbę wyprowadzenia floty z oczywistym skutkiem rozpadania walki, w której znaczna jej część uległaby zniszczeniu, a inna unieruchomieniu oraz zagrożeniu zniszczenia miasta, albo też wybrać wariant samozagłady nie dający żadnych pożytków (określonych wrogowi, choć także nie przynoszący mu strat, jakich doznałby w walce. Wybrano to drugie: załogi zatopiły swoje okręty, unieruchamiając także port tuloński. Można dyskutować, czy był to najlepszy wybór. Nie można jednak twierdzić, że była to zdrada, tchórzostwo i zbrodnia. Tymi określeniami można by szafować, gdyby cała armada poddała się Kriegsmarine, pomnażając jej potęgę. Ciekawe, jakie określenia przyszyłyby wówczas do głowy T. Kwiatkowskiemu?

Dalej Kwiatkowski w podobny sposób usiłuje budować efekt sprzeciwu wobec mojej oceny udziału w kampanii armii „Karpata” generała Fabrycego (zresztą wcale nie jakiejś specjalnie oryginalnej, jeśli się cokolwiek o kampanii wrześniowej czytało). Najpierw podaje, że „pokrzykując o kłeszkach militarnych naszego narodu”. Gdzie to robię — już nie. Po co? Następnie ów swój „sąd” uznaje Kwiatkowski za mój (sic!). „Wyraz ironii, nagany i jakiejś perwersyjnej satysfakcji”. Dodaje jeszcze, że „zgrzywam się na znawcę historii Kampanii Wrześniowej”, by wreszcie zakomunikować, że „sugeruję Czytelnikowi totalne bzdury o Armii »Karpata« i o generale Fabrycy”.

Naturalnie kontroler nie podaje ani jednego argumentu, który przekonywałby, że armia ta dokonywała cudów bojowych, była przykładem sztuki dowodzenia i stawała w polu, póki sił starczyło. Skoro tak miało być, a w co Kwiatkowski chce, aby mu wierzyć na słowo, to czym tłumaczyć, że gen. Sosnkowski odesłał Fabrycego z frontu na tyły, do dyspozycji Rydza-Smigłego, jako dowódcę skompromitowanego, bez rozeznania sytuacji, wydającego sprzeczne rozkazy, a sztab swej armii trzymającego o 200 km od linii walk. O czym można przeczytać, jeżeli się chce ponieść taki wysiłek, w „Wojnie Obronnej 1939”, podstawowej pracy na ten temat, wydanej w 1979 roku. Czym tłumaczyć, że gdy już Fabrycy dotarł na Zachód, z jego usług zrezygnowano, choć miał ledwie przekroczoną pięćdziesiątkę? No i skoro już jesteśmy przy Kocku, czy Kwiatkowski dostrzega jakąkolwiek różnicę pomiędzy postawą Kleberga i Fabrycego?

Obraz kampanii malowany przez tego autora jest tendencyjny, bo uwzględnia wyłącznie chwalebne jej karty, pomijając milczeniem natomiast to, co obraz psuje. Być może poprawia to samopoczucie T. Kwiatkowskiego. Traktowanie jednak Czytelników „Relacji” jak zbioru osobników, oczekujących jedynie na taki bezkrytyczny ogląd historii, wydaje się kpieniem z ich inteligencji i dojrzałości oraz traktowaniem ich jak dzieci, które gdy słyszą coś niemilego, zaraz się gniewają.

Zupełnie osobnym rozdziałem utworu T. Kwiatkowskiego są jego enuncjacje dotyczące wyników kampanii oraz jej części związanej z pojawieniem się na ziemiach polskich wojsk radzieckich.

Otóż, wedle Kwiatkowskiego, kampania wrześniowa miała swój wynik w gruncie rzeczy pozytywny, bo wciągnęła

Niemcy w wojnę światową, a to było gwarancją odzyskania przez Polskę niepodległości. Mało tego, był to wynik zakładany przez władze polskie i przez nie przewidziany! Są to naprawdę rewelacje, które powinny zainteresować historyków. Okazuje się więc, że Hitler nie planował podboju Europy i dopiero wrzesień 1939 roku uwikłał go w konieczność „zajmowania” się Belgią, Francją, Norwegią, Grecją, Bałkanami, Anglią i ZSRR. I kiedy tak szedł tryumfalnie przez Europę, wiadomo było z góry, czym to się skończy. Od początku! Jeszcze przed Stalingradem i uformowaniem koalicji. Tak więc przegrywając, wiadomo było, że wygrywamy.

Nie koniec rewelacji! Okazuje się, że naszą ofiarą oddaliśmy nieocenioną przysługę... ZSRR. Bowiem w momencie agresji stał się on automatycznie członkiem koalicji i miał od razu potężnych sprzymierzeńców, którzy zaangażowali się w wojnę z naszego powodu! Jak się ci nasi przyjaciele zaangażowali, było widać w 1939 roku. Jak nam pomagali. Jak spieszyli na pomoc. Nie opowiadajmy bajek. Gdyby nie sytuacja bezpośredniej agresji, zachodni sprzymierzeńcy nie włączyliby się efektywnie do wojny. Przystąpili, gdy Hitler na nich napadł, a nie z naszego powodu! Nie pochlebiamy sobie.

Zupełnym koncertem bzdur jest to, co T. Kwiatkowski wypisuje o „działaniach represyjno-militarnych”, jak je elegancko określa, Armii Czerwonej po 17 września 1939 roku. Armia ta, okazuje się, zbłądziła i nie wiedziała, co czyni. Powinna była „otoczywać ludność cywilną zyczliwą opieką”, a wojska polskie internować i pozostawić im niedaleko w magazynach broń, tak żeby w momencie agresji Hitlera mogły szybko ją pobrać i odeprzeć atak na ZSRR (autor nie pisze, czy wspólnie z Armią Czerwoną, czy też może same). Niestety, armia radziecka robiła co innego: żołnierzy polskich brała do niewoli, gdzie często młknęli bez śladu (precyzyjniej: ślady się odnajdują, tylko że jeszcze nie ma ustaleń, czy to rzeczywiście te ślady), a ludność cywilną wywoziła na Syberię. To doprowadziło do fatalnych „białych plam”.

Pisząc te rewelacje, T. Kwiatkowski pozostaje albo na historii ślepy, albo jej nie bierze pod uwagę. Armia ZSRR wkraczała na tereny RP jako armia wroga, bo związana paktem sojuszu z armią niemiecką. Podobnie jak Trzecia Rzesza z ZSRR. Z mocy porozumienia zmontowanego przez Molotowa i Ribbentropa w drugiej połowie sierpnia 1939 r., łącznie z granicami podziału Polski. Doprawdy nie wiem, dlaczego armia wrogiego mocarstwa miałaby okazywać nam kurtuazję? Udając, że paktu Ribbentrop-Molotow nie było, T. Kwiatkowski snuje jakieś fantasmagorie. Nie podejrzywam, że nie słyszał o tym „układzie” lub że w niego nie wierzy, uznając go za prowokację. I to właśnie budzi mój z kolei protest i skłania do zadania pytania o reprezentowaną przez T. Kwiatkowskiego opcję patriotyzmu.

Przechodząc do enuncjacji o charakterze agenturalnym. T. Kwiatkowski wyraża sprzeciw, że w moim felietonie zbyt często używam imienia Berka Joselewicza. No to policzmy! Używam — raz, a T. Kwiatkowski — sześć razy. Oczywiście w innym kontekście.

Kontroler normy patriotyzmu uważa, że przypomnienie, iż pod Kockiem poległ w walce pułkownik Księstwa Warszawskiego, a wcześniej bohater Insurekcji Kościuszkowskiej, z pochodzenia Żyd, jest „sztucznym przyklejeniem do tematu”. Dla jasności pisalem o trzech zdarzeniach pod Kockiem. Oprócz walki plk. Joselewicza z Austriakami i bitwie gen. Kleberga, także o bitwie polsko-radzieckiej z sierpnia 1920 roku. Tej jednak T. Kwiatkowski nie zauważa. To go nie interesuje. Ciekawe dlaczego? Czy z tych może powodów, dla których kontekst 17 września 1939 roku pozostaje oderwany od paktu Ribbentrop-Molotow. Czy w sierpniu 1920 roku też ktoś kogoś miał otaczać opieką?

Dalej śledząc motywy, dla których odważyłem się wspomnieć o Żydzie, który zginął walcząc o Polskę, a nie

swój — powiedzmy — szynk. Kwiatkowski zarzuca mi „próbę wmawiania Polakom, że mniejszość narodowa, którą reprezentował Berek Joselewicz, miała jakiś poważny udział w walkach o niepodległość Polski”. Zdaniem autora, „takiego wpływu oczywiście nie było”. Odwrotnie, Żydzi nie dopatrywali się „istotnego związku między sferą swoich interesów i niepodległością naszej Ojczyzny”. Naszej, czyli czyjej ojczyzny? Kwiatkowskiego czy Tuwima, Leśmiana, Aszkenazy, Topliżów, Słonimskich, Anielewicz, Edelmana? Czy to są różne ojczyzny? Czym się różnią? Otóż imputowanie, co dalej czyni Kwiatkowski, że „bardziej liczny był chyba zbiór nielojalnych względem Polski pobratymców Berka Joselewicza” jest zwyczajnym pomówieniem, bo w Polsce nigdy nie wolno było lżyć kogokolwiek z racji przynależności narodowej, a tym bardziej czynić poniżających aluzji do całych zbiorowości czy ich części. I tyle w tej sprawie mam do powiedzenia!

Ponieważ T. Kwiatkowski agenturalnie przypomina o wydarzeniach w Grodnie we wrześniu 1939 roku, nie mówiąc naturalnie, w czym rzecz, a sugerując Bóg wie co, pozostaje mi zapytać, dlaczego nie wspomina o Kielcach i lipcu 1946 roku, o praktykach „numerus clausus” i protestach intelektualistów z profesorem Kotarbińskim na czele czy chociażby niedawnym marcu '68?

Wydawać by się mogło, że poglądy T. Kwiatkowskiego należą do wstydlivej przeszłości. Ze dyskusja, jaka przetoczyła się przez Polskę po artykule profesora Jana Błońskiego w „Tygodniku Powszechnym” i konferencje naukowe na temat stosunków polsko-żydowskich i ich historii, jakie miały miejsce w Nowym Jorku, Oksfordzie, Krakowie i Jerozolimie, stały się istotnymi krokami do wygaszenia wzajemnej niechęci, obwiniania się, nietolerancji. W Jerozolimie, gdzie zresztą mogłem uczestniczyć w obradach konferencji, za istotny uznano fakt, iż nastąpił przełom jakościowy dialogu polsko-żydowskiego: skończyło się wzajemne atakowanie, a zaczęła krytyczna samoanaliza, patrzeć we własne lustro. W myśl zasady humanizmu śródziemnomorskiego: mniej tolerancji wobec siebie, więcej wobec innych. Tego samego humanizmu, który kazał kardynałowi Wyszyńskiemu powiedzieć: „Wybaczenie, i prosimy o wybaczenie”, za co został odsadzony od czoły wiary przez rzeczników opcji zupełnie różnej.

Dlatego wcale mi nie przeszkadza, gdy jednym zdaniem mówię i o Joselewiczu i Klebergu, bo każdy robił dla swej (i tej samej) ojczyzny, co mógł i jak umiał. Dlatego wolę się wstydić za szmalcowników, którzy sprzedawali Żydów, niż pierwszy rzucić kamieniem w Żydów, którzy witali radośnie wkraczającą Armię Czerwoną na nasze ziemie wschodnie. Dlatego wolę się wstydić za Fabrycego, który zostawił swoich żołnierzy i zadekował przy Rydzu-Smigłym, niż nazywać zbrodniarzem admirała de Laborde, który wydał rozkaz samozatopienia Marine National, gdy został zaskoczony wejściem do Tulonu II korpusu pancernego SS. Dlatego też nie nazywam T. Kwiatkowskiego kimś komu „nie mógłbym przyznać rangi partnerstwa” (jak on mnie określa), a jedynie człowiekiem godnym współzucia.

PS. Ponieważ sprawy mojej rodziny, a dzieci w szczególności, traktuję jako sacrum, ustosunkowuję się do insynuacji T. Kwiatkowskiego z tym związanych poza tekstem zasadniczym. Po pierwsze, uważam, że edukacja historyczna powinna obejmować przede wszystkim zwycięstwa i chwale mojej ojczyzny, natomiast jej klęski stanowiąc źródło refleksji. Inną kolejność uważam za niemożliwą do przyjęcia. Po drugie, do nauki arytmetyki nigdy nie będę używał krzyży nagrobnych, bo dzieci powinno się uczyć rachunków na czym innym (powiedzmy: na ołowianych ryceiach). To, że Kwiatkowski tendencyjnie zmienia sens mego wypowiedzi i twierdzi, jakobym odżegnywał się od liczenia z dziećmi mogił żołnierskich w ogóle, jest już specyfiką jego logiki i etyki dyskusji. Po trzecie, ponieważ sugeruje, że moje dzieci mogą nie podzielić moich poglądów i pójść inną drogą, życzę T. Kwiatkowskiemu, aby jego dzieci poszły jego drogą życiową i oby stanowią dla nich źródło nie ustającej satysfakcji.

BYŁO tak: W ósmym numerze „Relacji” opublikowałam artykuł pt. „Anonimów nie pisałam”, w którym przedstawiłam, w jaki sposób Rada Nadzorcza Bilgorajskiej Spółdzielni Niewidomych „Tanew” pozbyła się lektorki Jerzego Wójcika, niewidomego, wiceprezesa zarządu ds. rehabilitacji. A pozbyła się w ten sposób, że wiceprezesowi cofnęła dodatek na opłacanie lektora. Dlaczego? Otóż Rada Nadzorcza spółdzielni posadziła lektorkę, panią Wandę Szwałę, że poinformowała ona dziennikarzy z „Niewidomego Spółdzielcy” i „Plomieni” o tym, iż prawie wszyscy członkowie kierownictwa spółdzielni „załatwili” sobie II grupy inwalidzkie z tytułu utraty wzroku, które w następstwie „afery” zostały im cofnięte przez KIZ w Zamościu. Profity, które w związku z tym osoby te utraciły, były niemałe, więc i zemsta musiała być też duża.

z tego biurowca. I jakby na ironię droga do tego biurowca usłana jest dółkami i betonowymi uskokami. Zapewne pomyślana została też w trosce o niewidomych, którym w ten sposób „ułatwia” się dostęp do kierownictwa spółdzielni.

W każdej sprawie decydujący głos w spółdzielni ma Rada Nadzorcza. O tym, jak pilnuje ona interesów niewidomych, będzie poniżej. W tym miejscu chcę tylko przypomnieć, że prawie w całości rada składa się z osób widzących. Trzeba przyznać, że ich patrzenie na spółdzielnią rzeczywistość ma niewiele wspólnego z reprezentowaniem interesów niewidomych. Okazało się też, że Rada Nadzorcza w spółdzielni „Tanew” jest „ciałem” działającym tajnie, bo gdy poprosiłam prezesa Dyjaka o podanie mi składu osobowego rady, prezes odmówił.

Magister rehabilitacji, zatrudniony na stanowisku zastępcy prezesa w spółdzielni „Promień”, czyli osoba nie wchodząca w skład personelu przychodni, otrzymał w tym okresie nienależne wynagrodzenie w wysokości 130 000 zł.

Bardzo interesująco przedstawia się sprawa fizykoterapeutki — córki kierownika przychodni, która w ogóle nie pracowała w tym czasie w przychodni. Przebywała bowiem na urlopie wychowawczym, podobnie zresztą jak i pielęgniarka środowiskowa, którym to spółdzielni „Tanew” wypłaciła nienależne wynagrodzenie w wysokości 56 000 zł. Aby było zupełnie śmiesznie: w miesiącu lutym tego roku w zestawieniu czasu pracy pracowników kierownik przychodni osobiście dopisał swoją córeczkę, również magistra rehabilitacji, żądając dla niej wypłaty wynagrodzenia za 50 godzin pracy. Ze-

bez uzgodnienia z zastępcą prezesa ds. rehabilitacji i posługując się bez upoważnienia jego imienną pieczęcią — zlecił lekarzowi okuliście z Zamościa przebadanie 37 pracowników. Należność za tę usługę zawyżono o 7 tys. zł. Na podstawie zaświadczeń o stanie zdrowia wydanych przez tego okuliste, KIZ nr 6 w Bilgoraju wydała jedenastu osobom II grupy inwalidzkiej z tytułu utraty wzroku. W efekcie „afery” 6 osobom grupy te zostały cofnięte. Sprawa dalszych 5 osób walczy się w centrali ZUS.

Jedną z tym osób był Janusz M., który prawie natychmiast załatwił sobie dotację w wysokości 20 tys. zł z funduszu rehabilitacyjnego na zakup telewizora. Do wniosku o udzielenie dotacji dołączył zaświadczenie wydane przez kierownika przychodni, stwierdzające u wnioskodawcy rozpoznanie jaskry prostej obu oczu. Z pieczęcią, którą odczytałam, wynika, że kierownik przychodni jest lekarzem medycyny, a nie specjalistą.

Ale teraz już wiem, na czym polega wzajemne świadczenie usług między bonzami z „Tanwi” i dodatkowo opłacanym personelem medycznym przychodni (na wniosek kierownika Janusza M., opiniowany przez radcę prawnego).

Oczywiście na posiedzeniu zespołu rehabilitacyjnego wiceprezes Wójcik zgłosił sprzeciw w sprawie przyznania Januszowi M. nienależnej dotacji. Został jednak przegłosowany.

I teraz wiem już także, dlaczego niewidzący wiceprezes za wiele widział.

W listopadzie 1987 roku kierownik M. przedłożył w spółdzielni orzeczenie KIZ o przyznaniu mu II grupy z tytułu utraty wzroku, a już w grudniu „załatwił” sobie przyznanie miesięcznego ryczałtu z tytułu korzystania z własnego samochodu do celów służbowych.

Także w listopadzie odbyła się w godzinach pracy na terenie spółdzielni wielka popijawa, w której uczestniczyli: kierownik przychodni, lekarz działający w KIZ, radca prawny, a nadto kierownik zakładu dziewiarskiego i technolog, którym też przyznano II grupy inwalidzkie.

Osobny rozdział w działalności kierownika spraw osobowych stanowi swoista dokumentacja ewidencji obecności w pracy, o której to wiceprezes Wójcik pisemnie informował prezesa Dyjaka. Poprawki w liście obecności, wydrapania, samowolne przedłużanie urlopu, a więc prowadzenie dokumentacji niezgodnie z obowiązującymi przepisami, umożliwiało kierownikowi M. (również kierownikowi zakładu dziewiarskiego i księgowej) korzystanie z dni wolnych od pracy poza ewidencją i kontrolą.

O wszystkich tych sprawach wiedziała Rada Nadzorcza — głucha i ślepa na nieprawidłowości, postulszna tym, którzy rządzą w spółdzielni przejęli w swe ręce. Rada Nadzorcza nie respektuje nawet własnych uchwał, ot, chociażby w sprawach gospodarowania zakładowym funduszem socjalnym, z którego pracownicy wyjeżdżający na wczasy mogą korzystać co 2 lata. Inwalidów przepis ten obowiązuje. Nie obowiązuje natomiast kierownik M., który w ubiegłym roku po raz kolejny zakupił dla siebie 4 skierowania na wczasy za 114 000 zł; kwoty tej nie zwrócił spółdzielni, a zatem hojną ręką, choć bezprawnie, postanowiono mu wczasy sfinansować.

Na koniec chciałam jeszcze przedstawić zupełnie niecodzienny sposób wykorzystywania pieniędzy z funduszu socjalnego.

5 lutego tego roku zorganizowana została przez Janusza M. zabawa karnawałowa dla pracowników spółdzielni. A ściślej — dla 9 (słownie: dziewięciu) pracowników spółdzielni, oczywiście z osobami towarzyszącymi. Na ten cel wynajęta została restauracja „Pod Puszcą” z orkiestrą, obsługą i szatnią, za co kierownik M. zapłacił z funduszu socjalnego 104 000 zł. Zabawa była dobra.

Takiej samej „dobrej zabawy” życząc wszystkim pracownikom, którzy przyjdą na najbliższe walne zgromadzenie członków Spółdzielni Niewidomych „Tanew” w Bilgoraju.

RADA NADZORCZA WYKONAŁA SWOJĄ GROźBĘ I WICEPREZESA ODWOŁANO...

Izabella Wlazłowska

Ponieważ przy okazji oczy lektorki wiceprezesa dostrzegły pewne nieprawidłowości w dokumentach, o jakich na piśmie poinformował Jerzy Wójcik prezesa spółdzielni Tadeusza Dyjaka, niektóre osoby poczuły się poważnie zagrożone.

W piśmie skierowanym przez Wandę Szwałę do prezesa Centralnego Związku Spółdzielni Niewidomych czytamy: „Rada cieszy się sukcesem, bo odebrano Jerzemu Wójcikowi lektora. Będzie on teraz siedział jak przysłowiowy kot w worku. Nie będzie mógł wiedzieć, co dzieje się wokół niego. Każda chęć działania J. Wójcika, czy interwencja w słusznych sprawach niewidomych, kwitowana jest niechęcią i lekceważeniem, a równocześnie groźbą odwołania go ze stanowiska zastępcy prezesa ds. rehabilitacji”.

W rozmowie ze mną Jerzy Wójcik powiedział wtedy: „W obecnej sytuacji, która jest w spółdzielni, czuję się po prostu osaczony, tym bardziej, że pozostałe kierownictwo spółdzielni to osoby, które widzą. A do emerytury pozostało mi tylko dwa lata”.

W dwa tygodnie po ukazaniu się mojego artykułu Rada Nadzorcza wykonała swoją groźbę i odwołała Jerzego Wójcika z funkcji członka zarządu, zastępcy prezesa ds. rehabilitacji bez jednego słowa uzasadnienia tej decyzji. Ale zgodnie ze statutem mogła tak uczynić. Jednocześnie wypowiedziała mu warunki pracy i płacy, przenosząc J. Wójcika na stanowisko referenta w dziale rehabilitacji z zasadniczym wynagrodzeniem w wysokości 40 tys. zł. Jako wiceprezes J. Wójcik otrzymywał 78 200 zł, 4 500 zł dodatku funkcyjnego oraz 20 proc. premii i 20 proc. wysługi lat liczonej od podstawy wynagrodzenia zasadniczego.

Zeby kara dla J. Wójcika za wtykanie nosa w nie swoje sprawy była jeszcze dotkliwsza, został on teraz służbowo podporządkowany Januszowi M. pełniącemu funkcję kierownika działu rehabilitacyjno-socjalnego i spraw pracowniczych, a więc osobie, której były wiceprezes zarzucał nieprawidłowości w pracy oraz działanie na niekorzyść spółdzielni i zatrudnionych w niej niewidomych inwalidów. Zarzuty te były poważne.

I to właśnie jest powodem, dla którego dopiszę dalszy ciąg artykułu, bo teraz już wiem, że w spółdzielni „Tanew” dobrała się grupa ludzi, która postanowiła ciągnąć z tej pracy jak największe profity. Grupa ta to osoby widzące, dla których niewidomi stanowią dobry sztyd poczynań, jakie z troską o inwalidów nie mają nic wspólnego.

Zatrudnieni w dwóch zakładach produkcyjnych ludzie niewidomi racują w bardzo ciężkich warunkach. Aby poprawić tę sytuację, Centralny Związek Spółdzielni Niewidomych wyasygnował pieniądze na ten właśnie cel. Ale pieniądze spożytkowano w inny sposób. Najbardziej potrzebne okazało się bowiem wybudowanie du-

Na początku wróć do „afery” z załatwieniem II grup inwalidzkich, by ujawnić wreszcie mechanizm, który ją spowodował i który działa w spółdzielni po dzień dzisiejszy.

Wobec braku własnej służby zdrowia pracownicy spółdzielni „Tanew” korzystali od 1 stycznia do 30 września 1987 roku z usług leczniczych Przemysłowej Przychodni Zdrowia. Umowa na te usługi zawarta została z Przedsiębiorstwem Usług Socjalnych Budownictwa. Oprócz kosztów ponoszonych na utrzymanie przychodni, spółdzielnia „Tanew” zawarła umowę-zlecenia na dodatkowe wynagrodzenie 7-osobowego personelu medycznego, któremu wypłaciła w tym okresie 386 000 zł. Od 17 kwietnia 1987 r. do 15 stycznia 1988 r. gabinet okulistyczny był nieczynny z powodu choroby lekarza. Nie przeskądzało to wypłacić jednak 55 tys. zł nienależnego wynagrodzenia lekarzowi i pomocy okulisty. Listy plac sporządzone były przez księgową bez merytorycznej kontroli ze strony Janusza M., kierownika działu rehabilitacyjno-socjalnego i spraw osobowych, odpowiedzialnego za kontrolę absencji w pracy i prawidłowości wydatków ponoszonych z funduszu rehabilitacji inwalidów.

Od 1 października 1987 roku spółdzielnia zawarła kolejną umowę — tym razem ze spółdzielnią „Promień” na korzystanie z przychodni. W umowie tej podpisanej przez główną księgową i prezesa Dyjaka (bez podpisu J. Wójcika, z-cy prezesa ds. rehabilitacji) stwierdzono, że pracowników służby medycznej, zatrudnionych na etatach w Międzyzakładowej Przychodni, spółdzielnia „Tanew” opłacać będzie dodatkowo na podstawie odrębnych umów-zleceń. Taka operacja finansowa spowodowała nieuzasadnione zwiększenie kosztów ponoszonych z funduszu rehabilitacji inwalidów przez instytucje korzystające z usług przychodni aż o 2 186 tys. zł, w tym koszty samej spółdzielni „Promień” wzrosły o 1 938 tys. złotych.

A oto jak z funduszu rehabilitacyjnego spółdzielni „Tanew” opłacano hojną ręką personel medyczny:

Od 1 października 1987 roku do 28 lutego 1989 r. 19 osób z tego personelu przebywało na urlopek wypoczynkowych i okolicznościowych, zwolnieniach lekarskich, szkoleniach i delegacjach, więc w tym czasie z pewnością nie świadczyło żadnych usług niewidomym inwalidom. Otrzymały te osoby nienależne wynagrodzenie w wysokości 429 832 zł.

Dwie pielęgniarki pełniące dyżury dwuzmianowe w zakładzie produkcyjnym spółdzielni „Promień”, a więc w ogóle poza przychodnią, otrzymały w tym okresie nienależne wynagrodzenie w kwocie 228 000 zł.

stawienie to podpisał oczywiście Janusz M.

Osoby stanowiące personel przychodni są etatowymi pracownikami zatrudnionymi na podstawie umów o pracę w określonym wymiarze czasu. Opłacanie ich dodatkowo (w tym samym czasie pracy) naraziło spółdzielnię „Tanew” na wydatkowanie z funduszu rehabilitacyjnego kwoty 2 651 000 zł, z czego wynagrodzenie zupełnie nienależne stanowi kwotę 919 832 zł.

Główny inspektor ds. lekarskich CZSN podczas kontroli w dniu 5 sierpnia 1988 r. stwierdził: „W przychodni podczas wizytacji była tylko przełożona pielęgniarka, kadra medyczna przychodni w stosunku do liczby podopiecznych jest bardzo liczna, prezes Dyjak nie umiał podać podstawy prawnej umów-zleceń z personelem przychodni”.

Sporządzone zostało zestawienie, z którego wynika, że przewidziany koszt jednej porady lekarskiej w tej przychodni w 1989 roku kosztować będzie 5 632 zł. Z zestawienia tego wynika również, że z informacji uzyskanych w spółdzielni „Lekarz” w Lublinie koszt jednej porady wynosił dotychczas: u lekarza z I stopniem specjalizacji — 600 zł, z tytułem doktora — 1 200 zł, docenta — 1 400 zł, profesora — 1 600 zł.

Umowy-zlecenia wprowadzające kolejne podwyżki wynagrodzeń, zawierane na wniosek kierownika przychodni w porozumieniu z Januszem M., akceptowali prezes Dyjak i z-ca prezesa ds. technicznych A. Czacharowska. W sprawach tych nie miał nic do powiedzenia Jerzy Wójcik, który jako z-ca ds. rehabilitacji powinien mieć decydujące zdanie.

Przeciw tej „czarnej owcy” wystąpił nawet radca prawny, który dojeżdża tu aż z Lublina. Oto jego bardzo interesująca (nie pierwsza zresztą) opinia prawna, o którą zwrócił się do niego Jerzy Wójcik: „Wykaz dotyczący podwyższenia wynagrodzeń personelu przychodni jest podstawą [no proszę — przyp. I. W.] do podjęcia decyzji przez zarząd, a obowiązkiem zastępcy prezesa ds. rehabilitacji jest zajęcie stanowiska zgodnie z wnioskiem kierownika ds. rehabilitacyjno-socjalnych i spraw osobowych [a więc Janusza M. Brawo panie radco! — przyp. I. W.]”.

I jeszcze wyjaśnienie: w okresie ostatnich szesnastu miesięcy zarząd spółdzielni „Tanew” dokonał dwukrotnych podwyżek plac personelu medycznego, przekraczając każdorazowo 100 proc. kwoty poprzednich wynagrodzeń. Odnosnie podobnych podwyżek plac dla zatrudnionych w spółdzielni niewidomych inwalidów — nie mam danych. W listopadzie 1987 r. Janusz M. —

PRZEKRACZANIE GRANIC

Dokończenie ze str. 1

mik w PIW. Środowisko londyńskiej emigracji uważało, że się sprzedajemy reżimowi, że to reżim chce nas drukować. A z tych wszystkich maszynopisów przyjęto jeden, ja drugi osobiście zawiozłem. Pamiętam spotkanie w kawiarni „Czytelnik”, które prowadził Wiktor Woroszyński, mówiłem o naszej grupie poetów. Jerzy Sito wrócił, Janusz Ichnatowicz przyjechał z Kanady, skończył Seminarium Duchowne w Kielcach, a choć mieszka w USA, widziałem się z nim w ubiegłym roku w Warszawie właśnie; niektórzy przyjeżdżają częściej, jak Florian Śmieja czy Czerniawski, inni rzadziej. Ale nawet ci, którzy nie wydadzą tu książek, jak Bogdan Czajkowski, jednak w Polsce bywają.

— A kto jeszcze potrafił przekroczyć granicę „emigracji”, wydawać w kraju?

— Nawiazaliśmy kontakt z czasopiśmie „Współczesność”; tam kolumnę naszych wierszy wydrukowano. Najwięcej oprócz mnie wydawali Adam Czerniawski, Florian Śmieja, niezyskujący już Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz...

— Czy możemy powiedzieć, kto wtedy najostrzej występował przeciwko naszemu powrotowi do kraju?

— Istniejący na emigracji Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w październiku 1956 roku podjął uchwałę, zakazującą swoim członkom drukowania w kraju. Ale w tym samym czasie „Kultura” paryska zorganizowała ankietę na ten sam temat. Większość respondentów, w tym Czesław Miłosz i Witold Gombrowicz, wypowiedziała się raczej za drukowaniem w kraju. Najlepsi pisarze emigracyjni nie byli zrzeszeni w związku. Myśmmy też nie wstąpili. Czas nie potwierdził obaw emigracji. Dzisiaj widzę, że ci pisarze, którzy wówczas najostrzej występowali, drukują w kraju. Nawet ówczesny prezes związku, Tymon Terlecki, w Polsce jest wydawany. Te sprawy, po upływie trzydziestu lat, wyglądają zupełnie inaczej. Dzisiaj mówienie o podziałach między krajem a emigracją jest sztuczne. Granice, które by dziś wznoszono, byłyby granicami sztucznymi. Jedność polskiej literatury została zaakceptowana.

— Czy tak jest na pewno? Opowiadał mi Kazimierz Borowiec o następującym zdarzeniu. Stary Teatr z Krakowa występował se „Zbrodnią i karą” wśród Polonii amerykańskiej. Podczas mszy w polskim kościele, obecni tam aktorzy usłyszeli kazanie, którego sens w skrócie był taki: oto przyjechał do nas wspaniały teatr, wiecej polscy aktorzy, ze sztuką poruszającą najważniejsze sprawy dotyczące życia, przebaczenia, religii. Ale nie zapominaćcie umiłowani bracia, że oto przyszła czerwona zaraza...

— Myślę, że do tego miejsca jeszcze wiele rzeczy nie dotarło, może żyją tam ludzie, którzy myślą tak, jak myślało w Londynie trzydzieści lat temu, kiedy, na przykład, przyjeżdżały teatry polskie z renomowanymi nazwiskami i jakieś tam grupki robiły demonstracje, zresztą były one wyolbrzymiane.

— Czy pamięta pan „Historię o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Dejmka, po której w emigracyjnych gazetach ukazywały się informacje, że to są występy organizowane przez Urząd Bezpieczeństwa...

— Rzeczywistość była taka, że na jednym z przedstawień grupka ludzi rozrzuciła jakieś ulotki, po czym wyszła.

— A czy kiedy pan oglądał to przedstawienie, odczuwał pan, że godzi ono w pana uczucia religijne?

— Absolutnie nie. Kiedy zaproszono mnie do Stanów Zjednoczonych na konferencję pod tytułem „Religia a dramat”, na renomowanym Oberlin College w stanie Ohio, gdzie oprócz mnie występowali Richard Schechner i profesor teologicznego college'u protestanckiego z Nowego Jorku, Tom Driver, wziąłem za temat swojego wystąpienia wybrane spektakle, gdzie starałem się pokazać, jak ludzie niewierzący, a niektórzy z nich byli członkami partii komunistycznej, brali na warsztat sztuki religijne nie po to, aby je ośmieszyć, ale żeby się z nimi zmierzyć, oddać im sprawiedliwość, że to wyrażało ich podświadome tęsknoty metafizyczne. Analizowałem „Historię” Dejmka, „Nie-Boską komedię” zrealizowaną przez Swinarskiego i „Apocalypsis cum figuris” Grotowskiego.

— Czy ten tekst został opublikowany?

— Nie, właściwie większości moich prac nie miałem czasu opublikować. Mam tych różnych artykułów i esejów na setki, zobaczę, co z tego przetrwało próbie czasu, i może kiedyś przygotuję kilka tomów do druku.

— Czy po 14 latach przymusowej nieobecności nie czuje się pan tutaj, w kraju, w jakiś sposób samotny? Czy nie bywa pan „odmieńcem”...

— Odczuwałem samotność warsztatową, na początku swojej poetyckiej drogi. Przecież te wielkie wpływy, którym ulegałem w okresie młodości — Słowacki, Wypiński — mieszcili mnie w ślepy maulku. Byłem w Bristolu sam, przestałem pisać. Gdy spotkałem się w Londynie z kolegami, jakoś się znalazłem. Wtedy odkryłem Norwida, który był wielkim nowatorem, z tej poezji wiodła droga ku awangardzie przedwojennej, to doprowadziło nas do Różewicza. Znalazłem swoje środki poetyckie. I przez te trzydzieści lat twórczości poetyckiej jest samotność obok mnie, kiedy siedzę przy biurku w Londynie, ale w gruncie rzeczy, jak to pięknie napisał kiedyś Robert Graves w wierszu dotyczącym Byrona pod tytułem „Płaszcz”: wygnanie to tylko inna nazwa na dawny zwyczaj mieszkania nigdzie, tylko w głębi fałd własnego płaszcza. Można powiedzieć, że ta samotność poety polega na tym, żeby pomieszkować w głębi fałd własnego płaszcza, bez względu na to, gdzie by nie mieszkał...

— Więc być wszędzie gościem, jak pan napisał.

— Poeta mieszka też w języku. Starałem się to wyrazić w wierszu, w „Czarnolesie”, gdzie pisałem o wracaniu do korzeni naszej doskonałej mowy.

— Chciałem zapytać teraz o przekraczanie granic języka, a więc o tłumaczenia.

— Muszę powiedzieć, że to nie ja inicjowałem przekłady, proszono mnie o nie. Tak było z książką Wiktora Woroszyńskiego o Majakowskim. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby tłumaczyć tak ogromne dzieło. Mój pierwszy przekład na angielski to przekład książki Jana Kotta o Szekspirze. Książka ta fascynowała mnie, ukazywała się w częściach w „Przeglądzie Tygodniowym”, jednym z pism październikowego Powiązanie pisarza tak uniwersalnego

jak Szekspir z okresem stalinizmu, to wydawało mi się fascynujące i podjąłem się tego. Książka okazała się sukcesem. Peter Brook i inni wybitni twórcy na jej podstawie reżyserowali.

— Skąd fascynacja Haroldem Pinterem?

— Pinter był największym nowatorem, jeśli chodzi o formę, jego styl zmierzał do pokazania niemożności komunikowania się człowieka z człowiekiem, pokazywał samotność. W społeczeństwach europejskich człowiek musi wystarczyć sam sobie, dramaturgia Pintera dobrze to wyraża. Jest parę osób na scenie, mówią w przemian, ale właściwie monologują, każdy jest samotny. Problem niemożności porozumienia tkwił także we mnie od samego początku. Początkowo jego sztuki tłumaczył na polski Adam Tarn, który, nie będąc zainteresowany wszystkimi sztukami Pintera, parę moich przekładów w „Dialogu” zamieścił. Po niefortunnym wyjeździe Tarna z Polski, kiedy go wyrzucono z redakcji „Dialogu”, to jest bardzo wstydliva sprawa, jedna z białych plam, pisała o tym „Polityka”...

— Czy możemy przypomnieć tę sytuację?

— Tarn odmówił podpisania rezolucji potępiającej studentów w marcu 1968 roku. To był jeden z nielicznych momentów, kiedy natak niepolityczną organizację jak ZAIKS wywierano polityczną presję; Tarn odmówił i niemal z dnia na dzień wyrzucono go z redakcji „Dialogu”, zmuszono go do wyjazdu z Polski. Przekroczywszy tę granicę, nadal w takich warunkach jak mógł, służył polskiej dramaturgii, teatrowi. Kiedy osiadł w Calgary, tam, na uniwersytecie, od razu zaczął wydawać pismo teatralne, w którym dużo uwagi poświęcał polskiemu teatrowi. To dowodzi miary człowieka. Miał prawo machnąć na to ręką i zająć się czym innym. Od tamtej pory tłumaczę sztuki Pintera i jestem wyłącznym tłumaczem jego sztuk na język polski.

— Czy zna pan osobiście Pintera?

— Tak. Działa na rzecz praw człowieka. Chciał w okresie stanu wojennego, teraz już można to powiedzieć, ustanowić stypendium ze swoich dochodów w Polsce, jednak było zbyt wiele trudności... Pinter bardzo interesuje się tym, co się w Polsce dzieje, cieszy się, ilekroć jego sztuka może być tu wystawiona. Tylko że polskie teatry zawodowe już dawno się nim nie interesują. Ja mam kilka jego sztuk, są one do wystawienia. Jest to tryptyk sceniczny „Inne miejsca” oraz „Ciepłarnia”. W Krakowie studenci wystawili jego „Krajobraz”. Myślę, że wróci jego popularność, kiedy obecna moda w polskim teatrze na rozrywkę przeminie.

— Zapytałem, czy osobiście zna pan Pintera, bo utarło się u nas przekonanie, że tłumaczowi na Zachodzie agencja zleca tłumaczenie, autor je odbiera, brak ludzkiego kontaktu.

— W gruncie rzeczy tak jest. To, że poznałem Grahama Greena, kiedy chciałem wręczyć mu przetłumaczoną „Moc i chwałę”, to była moja inicjatywa i moja fascynacja. To była pierwsza moja praca przekładowa na polski. Katolickie wydawnictwo w Londynie zamówiło u mnie ten przekład i czynnik kościelny, polskie czynniki na tamym terenie, doszły do wniosku, że to nie jest książka nadająca się do czytania w rodzinie: ksiądz jest pijakiem, ma dziecko, a ta seria wydawnicza pomyślana była jako biblioteka rodzinna. Po czym wydała to w swoim Instytucie Literackim paryska „Kultura”. Potem miał wydać to PAX w ramach dzieł Greena i długo utknęło to w cenzurze, około dziesięciu lat.

— Jak pan sądzi, dlaczego tak się stało?

— W 1957 roku „Kultura” wyraziła zgodę dla PAX, w 1967 roku wydano tę powieść opowiadającą o walce państwa komunistycznego z Kościołem:

książy zmuszono do wyjazdu, rozstrzelano ich, ksiądz rozstrzelano w tej powieści. Powiedziałbym, że jego antagonistą, porucznik policji, komunista jest postacią bardziej może pozytywną, ale ksiądz ze wszystkimi swoimi słabościami jest postacią bardziej ludzką; policjant jest bezwzględny i nie ma żadnych wad, ale on ponosi klęskę, bo z chwilą, kiedy ostatni ksiądz został rozstrzelany, książka kończy się akcentem nadziei, do wieśniaków puka ktoś, pojawia się nowy ksiądz. Książka ukazuje trwałość tej postępi Kościoła mimo wszelkich przeciwności.

— Stąd pewnie bez problemów wydano „Ład serca” Andrzejewskiego. Ale chciałbym, abyśmy porozmawiali teraz o przekraczaniu granic w pańskiej poezji, granic samotności, osamotnienia, ułomności, wreszcie śmierci. W jednym z wierszy pisał pan o potrzebie wewnętrznej concordii, która w tym pomaga. Czy pomaga ona na przykład wygrać z czasem, który jest sprawcą naszego obumierania z dnia na dzień?

— Większość moich wierszy dotyczy właśnie problemów ludzkiej egzystencji. Czytając moje wiersze, można odnieść wrażenie, że wyrażają sprzeczności w człowieku. A więc jego dążenie do doskonałości, do miłości, a jednocześnie ograniczenie swoimi słabościami i samotnością. Poezja gorzkiej egzystencji. Ten akurat wiersz, który pan wymienił, to był wiersz, powiedziałbym, publiczny, społeczny, polityczny. Podejmowałem różne wątki, sporo tej poezji już napisałem i widzę, że dałoby się wyodrębnić nurt religijny, nurt egzystencjalny, który pozornie przeciwstawia się temu pierwszemu.

— A jednak tkwi w tym pierwszym.

— Ja widzę pokrewieństwa. Bo te wiersze religijne ukazują religijność nie w sposób łatwy. Napisałem kiedyś w Wielki Piątek wiersz „Pasja”, gdzie mówiłem, że przeżywając rok po roku ukrzyżowanie Chrystusa, wiemy, że potem nastąpi zmartwychwstanie. Wiemy może zbyt łatwo i na pewno, że ono będzie, ale powinniśmy bardziej myśleć o tym cierpieniu Boga, o cierpieniach, których doświadczył ów Człowiek, zanim wybrał śmierć, a potem ile cierpiał. Wiersz, w którym pisałem o concordii, był wierszem politycznym, pod tytułem „Wolność”, w którym podkreślałem, że wolność jest zawsze tym dobrem, za które trzeba i należy płacić cenę wysoką, czasem najwyższą, ale że i to trzeba czynić mądrze, w każdym czasie trzeba czynić to na inny sposób, każdy czas polityczny wymaga innego postępowania po to, żeby tę wolność osiągnąć. A więc męstwo jak najbardziej, ale i roztrpność. Ta concordia wewnętrzna oznacza, że naród pogodzony między sobą tę wolność zdobywa, niekoniecznie na polu walki. To jest jeden z tych niezbędnych czynników osiągnięcia wolności przez społeczeństwo. Człowiek może być naprawdę wolny wtedy, gdy żyje w wolnym społeczeństwie. Pan tu ma, widzę, bardzo piękną wypowiedź Jean Luisa Barrault.

— Kiedy parę lat temu przemawiał na otwarciu polskiego sezonu Teatru Narodów powiedział, że wszystkie systemy pewne, obdarzone społecznym zaufaniem, pozwalają teatrowi na swobodną wypowiedź, nie ograniczają jego głosu, inaczej natomiast dzieje się z systemami niepewnymi swej egzystencji, utrzymującymi się w państwie przy pomocy strachu i przemocy: one kneblują usta teatru. No, tutaj słowo teatr zamienić można na aktor, poeta...

— Oczywiście, to jest mowa o systemach totalitarnych i wiemy, jakie to były systemy: hitlerzmy, stalinizm, inne dyktatury, powiedzmy Pinocheta. Ale nie uważam, by ten cytat w swojej ostrości odnosił się do Polski obecnej. Takie ograniczenia mogą być w teatrze, poeta nie ma ograniczeń, nie ma wewnętrznego cenzora. System, który jest, nie jest za pewny, różne działania o tym świadczą, do kneblowania się chyba nie posuwa, teraz.

— A pana przejścia z polską cenzurą?

— Na przestrzeni lat nie było tego zbyt wiele. Zdjęto mi wiersze w „Więzi”. Kiedy w 1969 roku miał ukazać się tomik „Głos milczenia”, wydawany w nakładzie 800 egzemplarzy (takie były wtedy nakłady), to zanizono mi do 400 egzemplarzy, za wiersze pisane o 1968 roku. Wkrótce potem ukazała się recenzja w „Więzi”, gdzie recenzent pod pretekstem analizy formalnej wiersz wydrukował, i w efekcie w większej ilości egzemplarzy mogli czytelnicy go mieć. Rok później przyszedł grudzień i w wyborze wierszy wydanych w 1972 roku już cały tomik poprzedni, z inkryminowanymi wierszami włącznie, ukazał się bez problemów. Przy końcu lat siedemdziesiątych znowu zdjęto mi jakiś wiersz, to był wiersz pod tytułem „Kubuś Fatalista”, napisany na kanwie spektaklu w Teatrze Dramatycznym. Myślę, że chodziło tu o tego rodzaju linijki: „A z planów nic nie wyjdzie / człowiek tylko strzela / kulą w płot trafia zawsze / tylko przypadkiem spełnić się mogą / i jeśli o planach zapomni”. I dalej: „Fatalnie się los złożył dla tych niedobitków / pomyłki mitoplanistów / co na próżno śleczą / by bardzo racjonalnie mur ułożyć z cegieł / niewymiernych lecz głośnych, gdy spadną na głowę / w trumnie systemu zamknąć tę nierzeczywistość...” Czytam to panu z książeczki wydanej parę lat później, jest w całości. To zdjęto z czasopisma, które ma nakład 8 tysięcy, tomik dwa, może tu gdzieś przebiega granica dla cenzury. Oni też przekraczają granice. Nie badałem tego, do jakiego nakładu jest rzecz niecenzuralna, od ilu może być cenzuralna, jeśli ma tam kilka setek nakładu.

— U pana kiedyś ta granica sięgała czterysta egzemplarzy i to był chyba rekord elitarności...

— Tak, ale nie uważam, żebym był rzeczywiście prześladowany. Oczywiście, jak wiadomo, ingerencje są, ale wielu jest mitomanów, którzy chodzą i twierdzą, że im się tekstów nie puszcza. Żaden grafoman — jeśli można zwalić na cenzurę — nie przyzna się do tego, że wy dawnictwo odrzuciło mu książkę z przyczyn merytorycznych.

— Ślad chyba rodzą się mity o cenzurze.

— Co nie znaczy, żeby tego nie było. Teraz na przykład trwają próby przywrócenia prawdziwego charakteru warszawskiej „Jesieni Poezji”. Była to impreza założona przez Klub Poetów przy Związku Literatów Polskich na początku lat siedemdziesiątych. Sam na niej byłem kilka razy pod rząd. Raz w 1974 roku byłem z Robertem Gravesem, który odniósł wówczas wielki sukces, podpisywał swoje tomiki w księgarni Nike przez kilka godzin, stała kilometrowa kolejka, czytał swoje wiersze w Królikarni — w Muzeum Dunikowskiego, w Starej Prochowni, a ja czytałem przekłady. Warszawska Jesień Poezji, bardzo popularna i spontaniczna, wymagała oczywiście ram organizacyjnych; w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęto jakieś proskrypcje robić, skreślać poetów, według nazwisk. Klub Poetów się wycofał, mówiono, że to teraz magistrat prowadzi, urządzano akademie, aktorzy czytali wiersze zmarłych już poetów oraz przyjeżdżali jacyś tam ostatni poeci z prowincji, przesyłałem tu źle nie zrozumieć, na głębokiej prowincji mogą być bardzo zdolni poeci, to tylko taka metafora. Przez wiele lat wybitni poeci byli nieobecni. To była ich odpowiedź na ograniczenie swobody, którą „Jesień” kiedyś miała, myślę, że jest to kwestia czasu, przywrócenie jej naturalnego charakteru. Ale są gorsi wrogowie poezji od cenzury. Choćby obłędny system opierania dystrybucji na zamówieniach księgarzy. Niedawno skazano na przemiał 40 proc. nakładu mojego ostatniego tomiku „Cisza traw”. Tych egzemplarzy nigdy nie wysłano do księgarni ze składnicy i nie dano czytelnikowi szansy kupienia ich.

— Napisał pan, że trzeba odejść z obrazem piękna, zabrać je ze sobą. Czy to jest przekroczenie tej ostatniej granicy? Zbigniew Herbert w „Prześlaniu Pana Cogito” napisał: „Bądź, wiery, idź...”

— Napisałem to w tomiku „Dobranoc, bezsensie”, to mój najnowszy tomik, w druku, mam takie przecucie.

że może to być i ostatni. Zachowałem się dość ekscentrycznie, ostąpiłem tytułowałem tam „Sonety pośmiertne”, to pośmiertne jest w cudzysłowie, przy tym jest odsyłacz do przypisu, który brzmi: „po śmierci autora cudzysłów skreślić”. To są wiersze o sprawach ostatecznych, jest to rozrachunek, po którym różne rzeczy są możliwe. Można pisać dalej, ale można nie pisać i żyć lub też można umrzeć w dowolnej porze. Ja pewnie podsumowanie zrobiłem. Jest to rodzaj dokonania pewnego salda, potem mogę działać dalej, ale jak pisałem w wierszu pt. „Koniec ze znakiem zapytania”: „Można zamknąć książki podliczwszy saldo / i wyrzucić przez okno / i już uwolnionym / bez buchalterii / pójść sobie na spacer. Zobaczyć znowu słońce i księżyc i gwiazdy / zostać skropionym deszczem i przewianym wiatrem, / a koniec Twój, jako się rzekło / będzie twym początkiem”. No i wracamy do tego, że koniec kiedyś nadejdzie. Jeżeli człowiek podejrze do tego w odpowiednim duchu, to tak jak napisano w Piśmie Św.: koniec twój będzie Twoim początkiem. To jest tak jak z tym pięknem, które się zabiera i które może pozostać na zawsze. Mimo że te moje wiersze są ponure i bardzo pesymistyczne, a pisma nie bardzo będą chciały je drukować, są w nich okrucy nadziei.

— Światło za tą ostatnią granicą...

— W wierszu pt. „Wiara” napisałem, że nie należy dawać wiary nikomu, człowiek nie wystarczy, ale pokładać wiarę można tylko w Bogu, a prawdy nie ma poza tą, która jest w Piśmie: „Pan wszak Daniela wyrwał z paszczy lwa / Powierzyć Aniołowi ocalone dusze / Pamiętać dobro, które w życiu było”. Jestem bardzo ponurym poetą, czarnym egzystencjalistą, ale to nie oznacza, że nie mam wiary w ostateczne przetrwanie i można to wyłuskać, mimo iż nie każdy mój wiersz daje nadzieję. Różne są nastroje, ale zawsze jest się tym samym człowiekiem. Nie można pisać wbrew sobie. Moim wzorem pod tym względem jest poeta Karola Wojtyły. Jeżeli weźmiemy poemat: „Rozważanie o śmierci”, jest to wiersz bardzo gorzki, ukazujący tragizm ludzkiej egzystencji. Wojtyła pisze, że można przezwyciężyć bojaźń końca i widzieć dalej, ale trzeba zadać sobie trud, żeby do tego dojść. Bo ta bojaźń jest zakorzeniona i On to widzi, bo jest autentycznym poetą. To tak jak „Przed sklepem jubilera” nie jest jakimś łatwym, optymistycznym hymnem na cześć małżeńskiej miłości. On widzi wszystkie ograniczenia człowieka, wie, że człowiek jest bardzo biedną istotą i ten dramat Jego nie kończy się happy endem, tylko rozpaczliwym krzykiem: dlaczego nie byliśmy jak dzieci, ile straciliśmy przez to — mówi Stefan do swej żony Anny, kiedy ich małżeństwo się rozpada, i w finale podejmują próbę uratowania go. I mnie też wolno pisać czarno, a widzieć nadzieję.

— Po pańskim wieczorze autorskim na KUL jedna z osób powiedziała, że pisze pan czarno, a jednak jest w pańskiej poezji ta sama łagodność nadziei co u księdza Twardowskiego.

— To wielki komplement dla mnie, jeśli porównuje się moją poezję do tej bardzo rozumnej, tak ludzkiej poezji. Ja jestem mroczny i powikłany, zmierzam ku światłu chyba, widzę światło na końcu, a oni, tacy poeci jak Twardowski czy Wojtyła, już tam docierają. U mnie jest wątek religijny, ale ja jestem poetą egzystencjalnym raczej niż religijnym. Jest też u mnie duży wolumen wierszy biorących się z inspiracji artystycznej, z przeżyć sztuką. Ja nie ilustruję utworu, którego słucham, docieram do źródła tych przeżyć, jakie chyba odczuwał na przykład kompozytor, który ze mnie wydziera jakieś odczucia na ten sam temat.

— Czy możemy zdradzić te fascynacje?

— W tomie pod tytułem „Sztuka”, w drugiej części tryptyku (pierwszy nazywał się „Miłość”, trzecia część pod tytułem „Życie i śmierć” ukazuje się w grudniu), więc w „Sztuce” widać te fascynacje: Norwid, Eliot, Szekspir, Kantor, „Antygona”, Living Theatre, Marceau, Bergman, „Pieśni” Schumana, no i Mahler.

— A czy pana erotyzm zmierza ku śmierci? Ktoś powiedział, że erotyzm jest pochwałą życia sięgającą aż do śmierci...

— Dziś nie piszę erotyków, kiedyś ten erotyzm był dość ostry, z biegiem czasu to złagodniało, już nie wyodrębniam wierszy o miłości... Ona przemija ku śmierci...

— Mówiliśmy już o emigracji, o pańskiej poezji, o przekładach. Chciałbym zapytać o pańskie fascynacje, jako teatrologa, dramata Karola Wojtyły. Pan pamięta głośne zdanie Dejmka, że Wojtyła to owsem wspaniały Ojciec Święty, ale dramaturg z niego żaden...

— On powiedział: Pan Wojtyła. Doskonale pamiętam ten cytat. Tu wyleciało pana zdanie określające mnie bodaj jako filozofa, teologa itd. Brak teraz łącznika, którym był mój protest. Gdy dotarłem do analizy takiego zjawiska jak Grotowski — to miałem trudności, bo nie byłem antropologiem, choć nazywano mnie ekspertem od teatru rytualnego. Kiedy przyszło do analizy „Promieniowania Ojcostwa”, okazało się, że ja jestem w stanie dokonać teatrologicznej analizy, ale ślizgałem się tylko wokół istotnych zagadnień tego dramatu dlatego, że nie byłem teologiem. Kiedy doszło do inscenizacji tego dramatu w warszawskim Teatrze Rozmaitości, reżyser miał ciekawy pomysł, by do programu, którego zresztą cenzura nie chciała puścić (po kilku miesiącach puszczono ten program) zamówić u mnie esej na temat tej sztuki i od księdza Józefa Tischnera; samo nazwisko było niestrawne dla władzy. Książka Tischner dał teologiczną analizę tego dramatu i ujrzał tam rzeczy, o których mi się nie śniło, a o ba te eseje dały dopiero całość. Kiedy później pisałem o tym dramacie, to nie miałem innego wyjścia, otwarcie cytowałem teologiczną analizę Tischnera. Ten dramat wymagał, oprócz teatrologicznego podejścia, egzegezy teologicznej. Ale wracając do Dejmka, którego cenię i staram się oglądać, trochę powiedział to przez przekorę. On lubi takie rzeczy. Ale wydaje mi się też, że dramaty Karola Wojtyły nie poddawały się łatwo jego wrażliwości, jako reżysera, z prostej przyczyny. Nie są to dramaty pisane na scenę, dla teatru. To są teksty do wysłuchania, rozmyślenia. „Promieniowanie Ojcostwa” wymagał rapsodycznego podejścia, natomiast „Brat Naszego Boga” jest świetnym materiałem filmowym. Do tego wniosku doszedł Wajda, kiedy poproszono go o zrobienie tego dramatu w Starym Teatrze na 10. rocznicę pontyfikatu; podobno powiedział, że zrobi z tego film. Ale w teatrze też zrobiono niezłe: premiera w Teatrze Słowackiego, Skuszanki. Dejmek myśli kategetami mięsistego teatru, jemu te dramaty odpowiadać nie mogą. On miał na myśli, że nie są to sztuki sceniczne. Ja to rozumiem. Czy wyraził się wystarczająco elegancko? Niektórzy się poobrażali, mnie to ubawiło, i jestem przekonany, że gdyby papier to przeczytał, to też by się ubawił, bo ma poczucie humoru, chociaż mówią, że nie ma go w swoich dramatach.

— Jest takie przekonanie, myślę, że Dejmek na tym się opierał, że gdyby Karol Wojtyła nie został papieżem, to czy byłaby ta jego „kariera” teatralna, czy te dramaty by ktoś wystawiał?

— Jestem przekonany, że te dramaty by odkryto, chyba tylko nie tak prędko. On o to absolutnie nie zabiegał. Odkryto by to kiedyś przypadkiem. Niewątpliwie są tam ważne treści, które by musiały doprowadzić do publikacji i wystawienia. Wybór Wojtyły przyspieszył to. Teatry polskie rzuciły się wtedy do inscenizowania tych sztuk, nie bardzo rozumiejąc, o co tam chodzi. Była to moda, która przeminęła, tego nie wydobyto wtedy. Środki sceniczne okazały się nieautentyczne, ale do tego jeszcze teatr wróci. Ja uważam, że inscenizacja przygotowana w Starym Teatrze na scenie kameralnej przez Annę Polony — chodzi o „Przed sklepem jubilera” — jest udana. Postaci nie monologują w pustce, ale mają partnerów dzięki lekkim transpozycjom kwestii. Oscyluje ta inscenizacja między zbyt łatwym realizmem a posagowością rapsodyczną, to chyba jest model.

— Narwał pan te teksty Wojtyły dramaturgią wnętrza.

— Dlaczego nie są to dramaty sceniczne? Otóż ten były bardzo zdolny aktor i reżyser szkolny, uniwersytecki, współtwórca Teatru Rapsodycznego nie potrafiłby tego napisać? — Nie. Jemu nie chodziło o pisanie sztuk scenicznych z akcją sceniczną, tylko to są misteria, akcja rozgrywa się we wnętrzu ludzkiej duszy. Opatrzność widzi życie ludzkie nie jako oderwany moment w czasie, ale jako całość. Na skrzyżowaniu tego są myśli bohatera, przechodzące w rzeczywistość sceniczną. Już w „Jeremiaszu” są zaczątki dramaturgii wnętrza, czas jest pojęciem względny. Nie ma akcji, są obrazy. Są obrazy — on sam napisał w liście, że są obrazy, „już Zegadłowicz zauważył, że myślę obrazami”.

— Wiem, że odnalazł pan ślad nieznanego dramatu Wojtyły?

— Mam list Wojtyły, z którego wynika, że pierwszy dramat, jaki napisał jesienią 1939 roku, to był dramat „Dawid”. Chyba był podobny do „Jeremiasza”. Ten tekst się nie zachował, ale Halina Kwiatkowska oświadczyła — kiedy wygłaszałem w Krakowie, w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej prelekcję — że ten dramat zna, jest gdzieś u niej w piwnicy pomiędzy setkami papierów. Wynajmłem się na sprzątacza jej piwnicy na następny rok.

— Czy rozmawiał pan o swych fascynacjach z Ojcem Świętym? Jak on do tego podchodzi?

— Tak, parę razy do tego nawiązywałem. Raz miałem w jego prywatnych apartamentach rozmowę w cztery oczy, nawet pytałem go o „Dawida”, nie bardzo sobie przypominał. On nie przywiązuje właściwie większej wagi do tej twórczości, trochę jest tym ubawiony, chociaż inni uważają, że w gruncie rzeczy interesuje go to jednak. Kiedy wpisywał mi na angielskim wydaniu krytycznym jego tekstów dedykację, powiedział, że dużo się napracowałem, ale czy to było warto? Kiedy przywożłem mu „Przed sklepem jubilera”, też powiedział: „Ale się pan napracował, błąd pan taki jest”. Błąd taki byłem, bo się obawiałem, że deszcz mi egzemplarz zamoczy. To była praca miłości... Do jego sekretarza, księdza Dziwisza, kilkakrotnie kierowałem różne kwerendy, odnalazłem jakiś fragment; przysłał mi wówczas list odręczny. Nie mogę tego robić często, przecież wiem, jak bardzo jest zajęty.

— Może na koniec pytanie o teatr polski.

— Chciałbym wyróżnić dramaturgię: Mrozek, Różewicz; wspaniali reżyserzy: Dejmek, Swinarski, Jarocki, Grzegorzewski, Wajda.

— Gdyby zapytać wykształconego londyńczyka z pańskiego pokolenia o polski teatr?

— Wymieniłby Grotowskiego, Szajnę, Kantora no i Wiśniewskiego. „Koniec Europy” bardzo się podobał. Natomiast: Kantor jest dla Anglii największym twórcą.

— Przyjechał pan do Lublina na zaproszenie Leszka Mądziaka...

— O, właśnie wiedziałem, że czegoś mi brakuje, właśnie chciałem dołączyć teatry studentki zafascynowane plastyką, jak choćby Scena Plastyczna KUL, ostatnio „Grupa Chwilowa” Borowca, no a wcześniej „Provisionium”.

— A inne teatry lubelskie, czy pan coś jeszcze o innych wie?

— No i oczywiście niektóre spektakle Kazimierza Brauna, który prowadził teatr normalny, miejski. Jego dyrekcja była szalenie ciekawa, takie spektakle jak „Stara kobieta wysiaduje”. „Anna Liwia” wspominał bardzo pozytywnie...

— Dziękuję za rozmowę.

— Życzę wam powodzenia, no i myślę, że będę mógł z wami współpracować.

Rozmawiał: Waldemar Sulisz

Warszawa, listopad 1988

ZBIERANIE

Rozmowa z Janem W. Slenkiewiczem kustoszem Muzeum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

— Muzeum Uniwersyteckie KUL jest mniej znana placówką muzealną. Czy mógłby pan opowiedzieć o początkach muzeum?

— Ma ono swoją historię sięgającą 1932 roku. Fundatorem i założycielem muzeum był ksiądz kanonik Jan Władziński. W 1932 roku przekazał uniwersytetowi własną kolekcję dzieł sztuki, składającą się z 4785 obiektów: malarstwa, ceramiki, szkła i mebli. Oprócz tego ksiądz kanonik posiadał wielki zbiór wszelkich paramentów liturgicznych, tzn. szaty, wszelkiego rodzaju srebra i metalowe naczynia. Oprócz tego, jak przystało na kolekcjonera-amatora, znajdowały się tam takie precjoza, jak: płytki z Forum Romanum, zbroje francuskie z XVIII wieku czy orzeł ze sztandarów napoleońskich. Władziński zbierał więc wszystko, co było modne w zbieractwie przelomu wieków; nie tylko dzieła sztuki, lecz także tzw. osobliwości.

— Gdzie były eksponowane te obiekty i jakie były ich losy?

— Zbiór został zdeponowany w salach na I piętrze, prawdopodobnie w ówczesnym skrzydle północnym uniwersytetu, czyli w miejscu obecnego nowego frontonu. To były dwie duże sale w amfiladzie. Zachowały się cztery fotografie z 1932 roku i tylko na tej podstawie można powiedzieć, jak to wyglądało. Obiekty zostały umieszczone w wielkich szafach na zasadzie: półka paramentów liturgicznych, półka ceramiki, półka tkanin. Nie posiadamy żadnego dokładnego inwentarza obiektów. Z zachowanego w archiwum KUL bardzo niefachowego opisu wszystkich obiektów możemy wnioskować tylko o ilości dzieł, i tylko przy niektórych próbować je datować. Natomiast nie mamy żadnych danych metrykalnych. Z czasów wojny mamy tylko informację, że Niemcy w obecności ówczesnego intendenta KUL, pana Stupnickiego, zajęli pomieszczenia muzeum. Po wojnie z kolekcji Jana Władzińskiego nic nie pozostało. Tak sądziliśmy aż do 1985 roku, kiedy to na podstawie zachowanych zdjęć, o których mówiłem, udało mi się stwierdzić, że terakotowa głowa Salome, znajdująca się do tamtej pory w magazynie Muzeum Uniwersyteckiego KUL, pochodzi właśnie z tej kolekcji. Jak się okazało, również niektóre szaty liturgiczne znajdujące się w kościele akademickim miały sygnatury kolekcji księdza Jana Władzińskiego.

— Rozumiem, że te okoliczności zdecydowały o odrodzeniu muzeum...

— Reaktywowanie Muzeum Uniwersyteckiego jest zasługą przede wszystkim księdza profesora Władysława Smoleń, który przybył na KUL w 1957 roku i rozpoczął starania o odtworzenie muzeum. Ksiądz profesor pracował w Zakładzie Sztuki Kościelnej i kiedy został mianowany jego kierownikiem, sprawował faktyczną opiekę nad tą placówką. Z jego inicjatywy w 1958 roku Senat Akademicki KUL reaktywował muzeum, nazywając je imieniem księdza Jana Władzińskiego. Ksiądz Władysław Smoleń, wyjeżdżając ze studentami na praktyki, przywoził bardzo często jakieś obiekty do muzeum, jako podarunki z parafii, gdzie były po prostu albo w złym stanie, albo w zapomnieniu leżały na strychach plebanii. Zaczęły napływać także dary z parafii. Dokonywano również zakupów w „Desie”. Najciekawszym z tych zakupów jest obraz Dawida Theniersa z 1650 roku pt. „Mały w karczmie”. W ten sam sposób znalazło się w muzeum kilka czernych obrazów ze szkoły holenderskiej XVIII wieku oraz obrazy XVII-wieczne ze szkoły włoskiej. Pozyskaliśmy również obiekty rzeźby sakralnej: gotyckie ołtarze (mamy ich trzy, a otrzymaliśmy je w depozyt z Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu) będące przykładami

rzeźby śląskiej tego okresu. Natomiast obiekty rzeźby późnobarokowej, a właściwie już rokokowej, oraz inne dzieła sztuki otrzymaliśmy z Centralnej Składnicy Dzieł Sztuki, która po II wojnie światowej mieściła się w pałacu w Kozłowie.

— Te obiekty są tylko niewielką częścią obecnych zbiorów muzeum. Skąd cała reszta, wypełniająca szereg pomieszczenia Muzeum Uniwersyteckiego?

— W marcu 1986 roku ksiądz profesor Władysław Smoleń, jako kierownik Zakładu Sztuki Kościelnej i jako opiekun muzeum, otrzymał list od jednego z największych kolekcjonerów zakopiańskich — pana Tadeusza Litawińskiego z propozycją przekazania kolekcji uniwersytetowi. Tadeusz Litawiński był z wykształcenia architektem wewnątrz po krakowskiej ASP. Interesowały go najbardziej dzieła malarstwa z przelomu XIX i XX wieku. Do 1939 roku miał już pokazany zbiór malarstwa polskiego tego okresu oraz znaczny zbiór malarstwa włoskiego, francuskiego, holenderskiego. W 1939 roku Litawiński został aresztowany przez Niemców i osadzony w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Transportowany do Oświęcimia, uciekł z transportu i do końca wojny ukrywał się, konspiracyjnie też w AK. Po wojnie, w 1945 roku wrócił do Zakopanego i w swoim domu nie zastał nawet śladów swojej kolekcji. W związku z tym, że był architektem znanym już przed wojną, brał udział w odbudowie wszystkich obiektów, jakie niedługo projektował i realizował. To pozwoliło mu na zakupy nowych obiektów, a więc odbudowanie kolekcji. Do 1957 roku miał w swoim posiadaniu pokazany zbiór malarstwa polskiego z przelomu XIX i XX wieku. Zaczął się też interesować szkłem, ceramiką i wyrobami rzemiosła artystycznego. Myślał również o założeniu prywatnego muzeum, gdzie umieściłby swoje zbiory. Niestety, został osądzony o malwersację i wytoczono mu proces. Wygrał go, bo zarzuty były sfingowane. Było to jednak zwycię-

stwo pyrrusowe, musiał bowiem znaczną część swojej kolekcji sprzedać na pokrycie kosztów adwokackich. Od 1960 roku przestał być czynnym architektem i poświęcił się tylko swojej kolekcji. Pracował jako konserwator, z tego też się utrzymywał. Trudno mówić w jego przypadku o w pełni przemyślanym zbieractwie, ale w zbiorach szkła można zauważyć świadomy dobór obiektów — czego przykładem są ciekawe dzieła czeskich wyrobów z okresu biedermeieru, czy też XVIII-wieczne wyroby urzędowo-nalibockie. Zaczął też kolekcjonować obrazy zakopiańskiego malarza kolorysty, Wojciecha Flacka, zmarłego w 1972 roku.

— Od kiedy Litawiński zaczął myśleć o przyszłości swojej kolekcji?

— Pod koniec lat 70. pojawiły się na łamach prasy artykuły na temat jego kolekcji. Litawiński chciał przekazać ją dla Muzeum Zakopiańskiego. Jego życzeniem było, by te zbiory pozostały w ich naturalnym wnętrzu, tzn. w willi „Boży Dar”. Niestety, Muzeum Zakopiańskie tego warunku zrealizować nie mogło. Proponowano, by całą kolekcję wyeksponować w dworze Tetmajerów w Łopusznej, lecz byłaby to tylko ekspozycja czasowa, na okres lata. Litawiński szukał więc jakiejś instytucji, która byłaby w stanie zrealizować jego życzenie, aby kolekcja była eksponowana tak samo jak w zakopiańskiej willi. I ten warunek nasze muzeum było w stanie zrealizować. 5 maja 1986 przejeżdżałem pierwszą część obiektów. Litawiński był ciężko chory i cały czas właściwie pozostawał w łóżku, ale sam dysponował swoją kolekcją. Kazał zdejmować nam obiekt po obiekcie, obraz po obrazie, i prosił, żeby każdy zdjęty obiekt stawił przed nim, opowiadał jego historię i związane z nim anegdoty. Było to bardzo wzruszające. Kiedy następnym razem przyjechaliśmy do Zakopanego, a było to 12 maja, mogliśmy już panu Litawińskiemu pokazać zdjęcia z aranżacji jego zbiorów w salach naszego muzeum. Ekspozycja została urządzona na zasadzie horror vacui i tak jak w jego domu, obrazy wiszą od sufitu do podłogi. 23 maja 1986 roku Tadeusz Litawiński zmarł. W naszym muzeum znalazły się te obiekty, które on sam zdążył nam osobiście przekazać z podaniem pełnych danych metrykalnych i ilościowych. Niewątpliwie, gdyby nie śmierć kolekcjonera, otrzymalibyśmy zbiór znacznie większy. Z tej też racji mówimy nie o kolekcji Tadeusza Litawińskiego, lecz o zbiorach z kolekcji, które oddają charakter zakopiańskich zbiorów i stanowią ich trzon. W 1987 roku żona kolekcjonera przekazała nam kilka płócien autorstwa Wojciecha Flacka, co wzbogaciło zbior.

— Podobno kolekcję uratowała błyskawiczna reakcja ówczesnego kustosa Muzeum Uniwersyteckiego, ks. prof. Władysława Smoleń.

— Tak. Profesor, człowiek wielkiego formatu, znawca sztuki sakralnej oraz fachowiec w sprawach muzealnictwa, nie miał cienia wątpliwości co do — nazwijmy to — „ratowania” kolekcji. Będąc już wówczas na emeryturze, także w nie najlepszej kondycji fizycznej, jeździł wielokrotnie do Zakopanego. Dzięki jego ogromnej delikatności w pertraktacjach z zakopiańskim kolekcjonerem mogło dojść do tak szybkiego sfinalizowania darowizny. Sam Litawiński podkreślał, iż jego decyzja podyktowana jest wielkim zawierzeniem, którym obdarzył pośrednio osobę profesora. O jego wielkim przywiązaniu do Uniwersyteckiego Muzeum świadczy także fakt przekazania przez profesora dla naszej placówki znaczącego zbioru „nikiforów”.

— Czy są też nowe nabytki?

— Tak. Muzeum ciągle otrzymuje dary. Dla przykładu: nasze zbiory wzbogaciły się niedawno o interesujące płótna o treści religijnej, autorstwa Mariana Bohusza-Szysko z Londynu oraz o grafiki Andrzeja Zarnowieckiego o tematyce patriotycznej z 1981 roku.

— Zbiory rosną, niedługo zabraknie miejsca na ich ekspozycję. Jak więc pan widzi przyszłość Muzeum Uniwersyteckiego?

— KUL buduje Kolegium im. Jana Pawła II i z tą inwestycją można wiązać pewne nadzieje. Wówczas będzie możliwe zwolnienie niektórych sal wykładowych w obecnym gmachu uczelni, doskonale nadających się do celów muzealnych. Obiekty muzealne lepiej czują się w starych murach.

— Czy władze uczelni są zainteresowane w rozwoju muzeum?

— Oczywiście tak, i to chociażby z tego względu, iż obecny rektor KUL, ks. doc. Jan Srutwa, do niedawna pełnił funkcję Przewodniczącego Komisji Episkopatu Polski ds. Sztuki Sakralnej.

— Mówiliśmy o dydaktycznej funkcji tej placówki. Czy to muzeum może zwiedzać każdy?

— Oczywiście. Jeżeli są to większe grupy, to należy wcześniej skontaktować się ze mną lub z pracownikami Zakładu Sztuki Kościelnej, aby ustalić termin.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Violetta Krasnowska
Fotografował
Waldemar Stępień



Ekspozycja rzeźby gotyckiej



Cecile Chalus „Japonka”



Stanisław Tondos „Widoki Katedry lwowskiej od prezbiterium”



Szafa ołtarza gotyckiego (I poł. XVI w.)



Szafa ołtarza gotyckiego (II poł. XV w.)

„KONFRONTACJE Filmowe” pomyslane przed laty jako impreza, która miała zestawiać filmy najlepsze z najlepszych, być swoistym festiwalem festiwali, dającym widzom możliwość zapoznania się z najnowszymi tendencjami światowego kina. Taka formuła przeglądu w połączeniu z jednorazowym charakterem pokazu miała oczywiście jakiś sens, dawała pojęcie o tym, co wydarzyło się w Cannes, Wenecji, Berlinie Zach., Moskwie, kto dostał Oscara, a kto — Cezara. W ten sposób nieliczni szczęśliwcy widzieli wówczas „Dekameron” Pasoliniego, „Wielkie żarcie” Ferreriego, „Casanova” Felliniego, „Mechaniczną pomarańczę” Kubricka.

Zasadniczym kryterium doboru filmów na „Konfrontacje” był niegdyś fakt nagrodzenia utworu, co dawało pewną gwarancję prezentacji największych osiągnięć artystycznych minionego roku. Jednakże z powodu osobliwej polityki, jaką prowadziły w ostatnich latach organizatorzy różnych festiwali, i przyznawania kuriozalnych nagród, kryterium to nie do końca było przestrzegane — niezależnie od faktu, że jest ono nieprecyzyjne. Na festiwalach bowiem nagradza się filmy premierowe, podczas gdy Oscary otrzymują filmy z ostatniego roku rozpowszechniania. W tej sytuacji, wbrew dacie, konfrontuje się ze sobą filmy pochodzące z różnych lat: oglądamy jako premierowe filmy, które dwa lata temu wyświetlano w Ameryce, zaś z krajów socjalistycznych — filmy najnowsze, często dopiero wysyłane na festiwale. A już zupełnym nieporozumieniem jest przedpremierowe prezentowanie filmów polskich, nie wiadomo, na jakiej zasadzie.

Na początku lat 80. przy doborze filmów na „Konfrontacje” względy artystyczne stały się drugorzędne, zasadnicze kryterium miało charakter geopolityczny i ekonomiczny. Liczba filmów mogła się wahać od 14 do 10, ważne by zawsze była parzysta — dla zachowania równowagi filmów z krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. W tym przypadku nie miały żadnego znaczenia sukcesy odniesione na festiwalach, bo zawsze znalazł się jakiś powód prezentacji niedobrego filmu, tyle, że zrealizowanego u naszych sąsiadów — i tak wszyscy wiedzieli, że występuje on na zasadzie „wypełniacza”. Nie bez znaczenia były także koszty. Przeciętny widz rzadko ma możliwość dowiedzieć się, że nie stać nas na zakupienie jakiegoś tytułu. Dwa lata temu ujawniono, że „Wojownik Gonza” Shinody znalazł się w przeglądzie, ponieważ był on znacznie tańszy od wytypowanego w pierwszym rzędzie przez kwalifikatorów „Chaosu” Kurosawy.

Po kryterium ustrojowym brano pod uwagę kryterium mocarstwowe: przestrzegano, by dwu filmom radzieckim odpowiadały dwa filmy amerykańskie. Tu jednak znowu zaczynały się komplikacje. Oto niektórzy twórcy radzieccy zaczęli kręcić filmy za granicą, nie wiadomo zatem było, jak je klasyfikować. Ponieważ zaś status samych autorów był dość nieokreślony, na wszelki wypadek nie prezentowano dzieł, by nie ucierpiał sojusze. Nawet jeśli filmy te otrzymały najwyższe nagrody festiwalowe (casus: „Ofiary” Tarkowskiego).

Patrząc na zestaw filmów z tegorocznych, jak i dwóch poprzednich „Konfrontacji” możemy stwierdzić, że te osobliwe kryteria uległy zmianie: nie ma sztucznie wypełniających przegląd — filmów z krajów socjalistycznych ani proporcjonalnego udziału poszczególnych kinematografii. Niemniej nadal nie ma przejrzystych zasad doboru filmów: brakuje laureatów głównych nagród z Cannes („Pelle zwycięzca” Bille Augusta), Wenecji („Legenda o świętym pijaku” Ermanno Olmiego), Berlina Zach. („Czerwone lano” Zhang Yimou). Jest za to nagrodzony w Wenecji w 1987 r. film Louisa Malle’a „Do zobaczenia, chłopcy”, pominięty w ubiegłorocznym przeglądzie. W ten sposób została już złamana głoszona w tytule zasada roku ’88, choć to i tak nie w porównaniu z filmem „Koyaanisquatsi” Godfrey’a Reggio zrealizowanym w 1983 roku. (Dziwny film Reggio łamie także inną żelazną zasadę „Konfrontacji” — prezentowania wyłącznie filmów fabularnych). Z kolei jedyny film radziecki, jeden z absolutnych pewniaków tego przeglądu, „Komisarz” Askoldowa, choć zdobywca nagrody

specjalnej w Berlinie Zach. w ubiegłym roku, powstał 20 lat temu.

Nagrody przyznawane na wielkich światowych festiwalach w ostatnich latach wzbudzają wiele kontrowersji, jednakże równie dyskusyjny jest systematyczne pomijanie zdobywców tych nagród. W ten sposób nie zobaczyliśmy w ogóle „Pod słońcem szatana” Pialata lub „Zielonego promienia” Rohmera, by nie sięgać dalej w przeszłość. Że nie zawsze musi być to zło — w tym roku oszczędzono nam socrealistycznego filmu szwedzko-duńskiego (Cannes) i chińskiego (Berlin Zach.).

Nagroda nie jest żadną miarą wartości filmu, ale nagroda nagrodzie nie-

wolność” Attenborough, „Lunatyk” Normana Jewisona, „Good Morning Vietnam” Barry Levinsona, „Kobiety na granicy ataku nerwowego” Pedro Almodóvara, „Zabić księdza” Agnieszki Holland, „Bird” Clinta Eastwooda, „Strach i miłość” Margarethe von Trotty, „Ed Dorado” Carlosa Saury i wiele innych. Czy się pojawiają?

Chciałbym podkreślić wyraźnie: „Konfrontacje Filmowe ’88” to po prostu zestaw niezłych filmów wybranych przez komisję kierującą się subiektywnymi kryteriami doboru. Nie byłoby w tym nic groźnego, gdyby nie fakt, że są to zapewne jedyne filmy artystyczne, jakie znajdują się w czasie najbliższego roku w naszym reper-

się osiągnąć ideal: wystarczy jeden superatrakcyjny film — za to w wielu kopiach.

W tej sytuacji niemal każdy zachodni film może liczyć na stuprocentową frekwencję bez żadnej reklamy. Jeśli tak nie jest, prawdopodobnie chodzi o jeden z tytułów pochodzących z „Konfrontacji”, zwykle jeden z najwartościowszych filmów danego sezonu.

Brak jakiegokolwiek reklamy to wkrótce przeświadczenia, że widz i tak wszystko obejrzy. Jeśli tak nie jest, następują demagogiczne uwagi do twórców, że robią nieciekawe filmy. Żeby nie być gołosłownym. W roku 1984 z powodu braku jakiegokolwiek reklamy i błędów rozpowszechniania

PRZECIWIW „KONFRONTACJOM” - W ZWIĄZKU Z REPERTUAREM FILMOWYM

Marek Nalikowski

równa. Dlatego obecność chińskiego „Miasteczka Hibiscus” Xie Jina jako laureata festiwalu w Karlowych Warach wzbudzać może komentarze. Jeśli nie ma bowiem ściśle określonych zasad, każda selekcja wydawać się będzie dyskusyjna.

Nie ma zastrzeżeń, że w tegorocznych „Konfrontacjach” znalazł się „Świat na uboczu” Chrisa Mengesa, który otrzymał trzy nagrody w Cannes, bo nigdy dość znakomitego kina angielskiego. Osobiście jednak uważam, że znacznie lepsze na ten sam temat jest „Wolanie o wolność” Richarda Attenborough — niestety nigdzie nie nagrodzone. Wśród filmów uwzględnionych bez nagród są także: „Frantic” Polańskiego, „Imperium słońca” Spielberga, „Willow” Howarda, „Hanussen” Szabo, „Koyaanisquatsi” Reggio, „Dotknięci” Saniewskiego. Nie spieram się o to, bo to filmy dobre, warte umieszczenia w każdym repertuarze. Są jednak wyrazem czyjegoś gustu, o którym, wbrew łacińskiej sentencji, można jednak podyskutować.

Reprezentacja jest międzynarodowa, różnorodna, bo mamy film rosyjski, angielski, francusko-włoski, węgierski, polski, duński („Uczta Babette” G. Axel — Oscar ’88), chiński i aż 5 filmów amerykańskich. Przeważa tradycyjnie kino problemowe, ale przecież widać starania ustalających program, aby było też kino widowiskowe. Stąd właśnie thriller Polańskiego, niezwykle film Spielberga, zdumiewający dokument Reggio i baśń wg pomysłu Lucasa („Willow”). Wielkim widowiskiem jest oczywiście „Ostatni cesarz”. Nie jest to, moim zdaniem, najlepszy film Bertolucciego, natomiast obserwując od pewnego czasu nagrody Oscara, twierdzę, że jest typowym dziełem zrealizowanym pod tę właśnie nagrodę.

Jeśli zatem „Konfrontacje” są miejscem prezentacji dzieł trudniejszych, ale przecież nie awangardowych, to wypada się upomnieć o inne, ambitne pozycje minionego sezonu. Nie byłoby dyskusji, gdybyśmy mogli liczyć na to, że w kinach pojawi się „Wyliczanek” Petera Greenawaya, „Wrzesień” Woody’ego Allena (trzeci z rzędu znakomity film twórcy „Manhattanu”, który nie znajduje uznania u naszych dystrybutorów), „Ostatnie kuszenie Chrystusa” Martina Scorsese (niezależnie od wartości tego filmu), „Wolanie o

tuarze, co w praktyce oznacza, że z powodów motywowanych ekonomią większości widzów odbiera się możliwość trwałego uczestnictwa w światowej kulturze. W sytuacji, gdy wszystkie filmy z „Konfrontacji” zostają zakupione do normalnego rozpowszechniania, a sama impreza przekształca się w cyrk objazdowy obliczony na maksymalny zysk, kontynuowanie jej nie ma już żadnego sensu.

Ponieważ działalność kin obliczona jest na przyniesienie zysku, dystrybutor czuje się rozgzeszony. Proszę, macie te arcydzieła, panowie krytycy, tylko widz nie chce ich oglądać. „Chaos” Kurosawy sam w sobie nie przyciąga widzów, nie udaje się to nawet filmom ostatniego z czynnych twórców mistrzów kina — Felliniemu. Widz się zmienił — w istocie chodzi tu o nowe pokolenie kinomanów — i jeżeli ogląda obecnie niedobre filmy karate i science fiction, to takiego widza w znacznej mierze wychowali sobie producenci i dystrybutorzy.

Wskaźniki są imponujące — np. „Wejście smoka” oglądało 17 mln widzów — ale oznacza to również, że coraz więcej widzów ogląda coraz mniejszą liczbę filmów, z reguły preferując łatwą rozrywkę. Owe wskaźniki prowadzą do tego, że film sprowadzony za dewizy musi przynieść określony, bardzo wysoki dochód, co automatycznie eliminuje z listy zakupów większość filmów artystycznych, filmów nieco trudniejszych, odbiegających od stereotypu, do którego przyzwyczajono publiczność. Coraz częściej w trakcie projekcji daje się zauważyć niedobre nawyki odbiorców wideo: film refleksyjny o spowolnionej narracji wywołuje odruch naciśnięcia guzika mechanizmu „remote control” przewijającego taśmę do przodu. Byle szybciej, byle więcej akcji.

Podobne myślenie co na sali kinowej dominuje w urzędach: film, który może wypełnić widownię w jednej trzeciej — naturalny stan rzeczy w świecie — u nas oznacza klęskę kasy. Oto zasady ekonomii sprowadzone do absurdu. Jeśli film nie cieszy się od razu największym zainteresowaniem w ciągu kilku pierwszych dni rozpowszechniania — znika z ekranów. Zarazem coraz mniejsza liczba kin i filmów prowadzi do tego, że dostanie biletów na aktualny przebieg granicy z cudem. Być może w przyszłości uda

„padł” doskonały film Terence’a Malicka „Niebiańskie dni”, nagrodzony w Cannes, będący jednym z największych osiągnięć sztuki operatorskiej (tylko 150–200 tys. widzów). W roku 1986 podobny los spotkał tak widowiskowy film jak „Rok niebezpiecznego życia” Petera Weira (170 tys. widzów) — film, który z pewnością był ozdobą tamtego sezonu, a wcześniej cieszył się dużym powodzeniem podczas „Konfrontacji”. Siegając zaś do ubiegłego roku i dwóch najlepszych filmów ówczesnych „Konfrontacji” — „Brzucha architekta” Greenawaya i „Domu gry” Mameta — każdy może sobie sam odpowiedzieć na pytanie, czy widział te filmy i czy możliwe jest ich obejrzenie.

Z drugiej jednak strony — nie rozumiem owych światłych konsumentów kultury, którzy niegdyś oglądali filmy francuskiej nowej fali, Bergmana, Antonioniego, a teraz odsunęli się od kina i nie stanowią już o frekwencji na pokazach Kurosawy, Felliniego, Greenawaya. Można oczywiście swoje potrzeby duchowe przenieść na inne dziedziny i w nich się do końca realizować. Ale z mojego punktu widzenia konieczność alternatywy: literatura, muzyka czy film — to przeniesienie do sfery kultury dylematu mycia rąk lub nóg.

Należy znieść sztuczny podział na filmy, które sprowadza się na „Konfrontacje”, z góry zakładając, że padną w normalnym rozpowszechnianiu, oraz filmy do codziennego oglądania, co oznacza w większości rozrywkową tandetę. Nie sprowadza się głośnych kontrowersyjnych filmów, ale złudzeniem jest, że można je zastąpić przy pomocy „Wielkiej draki w Chińskiej Dzielnicy”, „Jak to się robi w Chicago” lub „Coby”. To na żądanie odbiorców wideo sprowadzono „Terminatora”, zwanego swojsko „Elektronicznym mordercą”, a wraz z nim szereg zdecydowanie gorszych filmów tego gatunku, zaspokajając niewybredne gusta przedstawicieli drobnej wytwórczości. W ten sposób prymitywny repertuar wypożyczalni wideo został podniesiony do rangi ogólnopolskiego programu kinowego — z jednym wyłączeniem: filmów antykomunistycznych i pornograficznych.

Impreza pod nazwą „Konfrontacje Filmowe” miała być promocją ambitnego kina, lecz paradoksalnie stanowi

dla niego barierę. Z powodu istnienia „Konfrontacji” od prawie roku wstrzymywano skierowanie do rozpowszechniania „Ostatniego cesarza” Bertolucci'ego. To samo było w roku ubiegłym z „Plutonom” Słone'a i tylko w wyniku protestów widzów nie stało się tak z „Pokutą” Abuladze. Już dziś można powiedzieć, że podobny los czeka następnych zdobywców Oscara, a może i innych nagród festiwalowych. Zatem najgroźniejsze w danym sezonie filmy, które powinny być najszybciej znaleźć się w repertuarze, muszą leżakować jak wino, choć nie zyskują przez to na wartości. Okres sztucznego przetrzymywania filmów pozbawia je naturalnej promocji wynikającej z pozytywnego snobizmu kinomanów, którzy chcieliby skonfrontować jak najszybciej światowe opinie z własną oceną głośnego tytułu.

Prześledzenie liczb pokazałoby, że owe słynne światowe hity, jak choćby „Pluton”, spotkały się potem z bardzo umiarkowanym przyjęciem ze strony widzów. Z drugiej strony — znamienita jest historia „Czasu Apokalipsy”, kiedy to sprowadzenie filmu na „Konfrontacje” kosztowało ogromną sumę, a potem okres oczekiwania na wejście filmu do rozpowszechniania nieprawdopodobnie długo się przeciągał z powodu braku niewielu dewiz na materiały do produkcji kopii.

Problem „Konfrontacji” polega na tym, że jest to jedyny szeroki ogólnopolski przegląd ambitnego kina. Mało prawdopodobne, aby trudny film, który nie znalazł się w programie „Konfrontacji”, miał szansę pojawienia się w normalnym rozpowszechnianiu. Dowodzi tego dotychczasowa praktyka. W roku ubiegłym w kinach zaprezentowano ok. 35 filmów zachodnich, a więc o ok. 10 więcej niż w poprzednich latach. Ale jeśli nawet się umówimy, że „Kopalnie króla Sałomona”, „Kaczor Howard”, „Złote dziecko”, „Labirynt”, „Piraci”, „Krótkie śpięcie”, „Harry i Hendersonowie” to filmy dla dzieci, to przecież co najmniej kontrowersyjne są inne ubiegłoroczne zakupy: „Powrót na Ziemię”, „Komando”, „Wyznawcy zła”, „Superglina”, „Samotny wilk McQuade”, „Stowarzyszenie złooczyńców”, „Trzech ojców”, „Billitis”, „Malone”, „Gabriela”, „Dzieci gorszego boga” i „Kamienny wyrok” także nie należą do udanych.

Jeszcze raz podkreślam, że nie chodzi o zastąpienie repertuaru rozrywkowego wyłącznie repertuarem artystycznym bądź awangardowym, ale o model kina rozrywkowego. Z naszego repertuaru bowiem został wyeliminowany niemal zupełnie typ kina popularnego dla dorosłych — w ubiegłym roku reprezentowany jedynie przez „Dziwką namiętność”, „Peggy Sue wyszła za mąż”, „Pokój z widokiem”. W samym kinie amerykańskim mamy tu znakomite rezerwy do natychmiastowego wykorzystania: „Zbrodnie serca” Bruce Beresforda, „Przypadkowe spotkanie” Blake Edwardsa, „Czarownice z Eastwick” George'a Millera, „Zgaga” Mike'a Nicholasa. Wiadomo, że ma być „Wall Street” Stone'a, „Telepasia” Jamesa L. Brooksa i antyestetyczne „Fatalne zauroczenie” Adriana Lyne'a. A dlaczego nie znakomite erotyczne „Dziwki i pół tygodnia” tegoż samego reżysera, „Zbrodnie namiętności” Kena Russella albo znacznie bardziej odpowiedni od „Gabrieli” dla prezentacji Soni Bragi „Pocałunek kobiety-pajaka” Hectora Babenco? Programowo nieobecny na naszych ekranach jest Michael Cimino, od niedawna do listy tej dołączył także inny Amerykanin, Jim Jarmusch.

Nikogo chyba nie trzeba przekonywać co do znakomitego poziomu angielskiego kina. „Zdrada” Davida Jonesa, „Taniec z nieznajomym” Mike Newella, „Błahostka” Nicholasa Roega, „Moja piękna pralnia” Stephena Frearsa mogłyby wzbudzić zainteresowanie każdego myślącego widza w Polsce; mogłyby gdyby nie były znane wyłącznie z przeglądów.

Osobliwe poczucie humoru, wyrażające się upartym lansowaniem kolejnych francuskich „żandarmów” i „tajemniczych blondynów”, nie pozwoliło nam nigdy poznać takich realizatorów, jak Bertrand Blier, Jean Eustache, Andre Techine (tego ostatniego wysławiane było jedynie „Barocco”). Ze kino to może być interesujące, niech świadczy nieco przypadkowa prezentacja „Betty Blue” Benixa. Równie przypadkowo pokazany film Nagisy Oshimy „Imperium namiętności” nie mógł przekonać nikogo, że reżyser jest jednym z największych współczesnych realizatorów.

Jeśli w kinach nie można zobaczyć głośnego ostatnio na świecie tytułu, siłą rzeczy kto może, ten sięga po wideo, korzystając często z pirackiej kasety fatalnej jakości, ale za to ze świadomością, że dzięki technice zyskuje coś, czego państwo go sztucznie pozbawia.

Powszechną praktyką w sztuce masowej jest przestrzeganie pewnych reguł działania. Płyta gramofonowa, którą zapowiada się na określony dzień, musi się niemal jednocześnie pojawić w sprzedaży w Nowym Jorku, Paryżu i Tokio, gdyż inaczej prowadzi to do rozmaitych spekulacji, piractwa i utraty zysków. (Są pewne odstępstwa od tej reguły, występują jednak sporadycznie). Podobnie rzecz ma się z filmem. Każdy zabiega, by sprowadzić do swojej sieci kin utwór, który cieszy się w danym momencie największym powodzeniem na świecie. Kto szybszy — ten lepiej zarabia. Kino to sztuka nierozdzielnie związana z rozrywką przynoszącą krociowe zyski. Popularność takich filmów, jak „Gandhi”, „Droga do Indii”, „Pożegnanie z Afryką” także wiązała się z określoną modą, którą one niosły. Moda zaś to zjawisko ulotne. „Bonnie i Clyde” lub „Borsalino” oglądane po latach w telewizji nigdy nie były już tym, czym wówczas, gdy nie spodobały się pewnym naszym prominentom.

W kontekście wielu przeoczeń, pomyłek i pominięć dokonującej zakupów kinematografii należy pochwalić działania telewizji mającej na celu walkę z filmowym analfabetyzmem. Niewątpliwym wydarzeniem minionego roku były przeglądy filmów Carlosa Saury (w szczególności prezentacja trylogii baletowej: „Krwawe gody”, „Carmen”, „Czarodziejska miłość”) i Felliniego (polska premiera „Satyriconu”). Ale nie tylko, bo poważne luki wypełniły: „Życie przed sobą” Moshe Mizrahi, „Doktor Zywego” Davida Leana, „American Graffiti” George'a Lucasa, „Bez dachu i praw” Agnes Vardy, „Biesy” Andrzeja Wajdy, „Stammheim” Reinharda Hauffa.

Miast „Konfrontacji” — konieczne jest podjęcie konkretnych działań zmierzających do odbudowania repertuaru kinowego: 1) zakupienie najlepszych artystycznie filmów z danego sezonu na podstawie listy opracowanej przez grono specjalistów powołanych przez Komitet Kinematografii; powinna ona bezwzględnie obowiązywać do sprowadzenia tych właśnie tytułów, a nie, jak było to tej pory, dawać możliwość wyboru podejmującym decyzję urzędnikom; 2) opracowanie listy filmów z lat ubiegłych — nie zakupionych dotychczas — które polscy widzowie powinni poznać ze względu na ich walory artystyczne (np. „Rydwany ognia” Hudsona, „Barry Lyndon” Kubricka), i systematyczne wprowadzanie ich do bieżącego repertuaru; 3) kontynuacja cennej inicjatywy kanonu największych arcydzieł kina.

Totalny wymiar tego projektu nadał mu charakter utopii, nie wydaje mi się jednak, aby była ona niemożliwa do realizacji. Jeśli umiemy się, że rozmawiamy o kulturze, rozmawiamy o określonej polityce państwa. Ujawniane zaś wyniki socjologicznych sondaży dowodzą, że realizacja kulturalnych potrzeb społeczeństwa nie odpowiada poziomowi tych potrzeb. Znaczący to, co jest doprawdy pocieszające, że społeczeństwo jest lepsze, niżby zasługiwali na to politycy.

Dlaczego obecnie uważam protestowanie przeciw „Konfrontacjom Filmowym” za równie bezsensowne, jak ich organizowanie? Dlatego, że zapowiadana w tym roku liczba czterdziestu paru zakupionych filmów zachodnich — po wielu latach, gdy musieliśmy się obywać połową tej wielkości — jest krokiem dokonany w właściwym kierunku. W tej liczbie można zawrzeć wiele.

Ekscytując się liczbą 40 filmów zachodnich, sięgnijmy jednak w przeszłość. Okaże się wówczas, że w roku 1957 było ich 85, w 1958 — 97, a w 1959 — aż 127!

To nieprawda, że kino musi być deficytowe. W 1980 roku wpływy uzyskane z eksportu polskich filmów były ponad dwa razy większe niż przyznany kinematografii limit importowy, a przeszło 6 razy większe niż faktyczne wydatki na import. Potwierdza to jedynie lansowaną przez niektórych satyryków tezę, że kultura musi zarobić na deficytowej gałęzi przemysłu. Pamiętajmy: kino to doskonały sposób ściągania z rynku pieniędzy. Ale, na miłość boską, nie zapominajmy, że jest także sztuką!

UROKI ROZRYWKI, SMAK AWANGARDY

NOWA muzyka czasem pojawia się na estradzie filharmonicznej, a do wyjątków należą koncerty w całości jej poświęcone. Dużej rangi wydarzeniem artystycznym okazał się koncert Tria Perkusyjnego Filharmonii Lubelskiej (Józef Maruszak, Włodzimierz Sypniewski, Andrzej Zawisza) oraz zaproszonych gości: Marii Świecy — skrzypce, Corellego Świecy — fortepian, Łaucha Szosta — flet. Na program złożyły się współczesne utwory kameralne twórców z krajów Europy Zachodniej (Dania, Holandia, RFN), USA oraz Polski (Elżbieta Sikora, Zbigniew Andrzej Zajac).

Organizatorzy przyjęli bardzo interesujące założenia, polegające na łączeniu pozycji skrajnie awangardowych z utworami rozrywkowymi czy wręcz żartami muzycznymi. Stworzony w ten sposób kontrast uwypukla zarówno piękno nowych kompozycji, jak i — co istotne dla słuchaczy — siłę oddziaływania utworów lżejszego kalibru. Zabięgi ten, spotykany także na poprzednich koncertach zespołu, żywiołowo przyjęła widownia, zmuszając kilkakrotnie muzyków do bisów.

Pierwsza część koncertu utrzymana była w pastelowych barwach, eksponując solistyczne walory kompozycji (skrzypce, flet). Wyróżniły się zwłaszcza: napisana w technice repetytywnej Suita Alana Hovhanessa oraz znacznie bardziej wyrafinowane „Birds” Willema de Vriesa Robbe. Po przerwie dominowały utwory na trzy perkusje (m. in. prawykonywanie „Metabasis” Zajaca), a w tym żarty muzyczne. Spośród tych ostatnich wyszczególnić można „Impressionato” Judy M. Mathisa, „Three Dances Movements” Williama Russella, „Chypnotic Chant” Charlesa Camilleri czy „Clapping Music” Steve Reicha. Zwalazcza ten ostatni utwór, nawiązujący do poszukiwań i odkryć Johna Cage'a, rozbawił publiczność. Ponadto w programie znalazły się przeboje Scotta Joplina, ze słynnym „The Entertainer”.

Słuchaczy zaskakiwały i bawiły zarazem tak klasyczne już w nowej muzyce elementy, jak preparacja fortepianu, użycie gwizdków, klaksonów, butelki po coca coli, okrzyki i jęki wykonawców, utwory wyłącznie klaskane („Clapping Music”). Zjawisko to jest przejawem rozszerzenia środków wykonawczych oraz zakresu oddziaływania nowej muzyki.

Lubelscy muzycy znakomicie poradzi sobie z realizacją strony interpretacyjnej. Na uwagę zasługuje tutaj możliwość względnie łatwego „przesławienia się” z tradycyjnych środków wyrazu na nowe. W ten sposób zniwelowana zostaje magiczna i chyba urojona granica między klasycznymi a współczesnymi kryteriami muzycznego myślenia.

W koncercie, moim zdaniem, zabrakło specjalnych efektów świetlnych, połączonych w przypadku prezentacji wyrafinowanych struktur dźwiękowych. Efekty te wprowadzają słuchacza w określony nastrój, co sprzyja kontemplacji muzyki. W folderze nie zamieszczono żadnych informacji o mie znanych w Polsce kompozytorach, brak było także krótkiego choćby komentarza słownego.

Do drobnych niedociągnięć (gdzie ich ma) nie zmieniają pozytywnego wrażenia słuchaczy. Duże brawa należą się głównemu inicjatorowi koncertu, znakomitemu perkusiście, Włodzimierzowi Sypniewskiemu. Oby więcej było takich koncertów, i nie tylko od święta.

Mariusz Dubaj

LISTY

SKARGA

Jestem obywatelką Norwegii, przebywającą w Polsce na stypendium MKiS na podstawie wymiany kulturalnej między naszymi krajami. Z Polską wiązałam mnie długoletnie więzi przyjaźni, ogromnej sympatii do wielu Polaków i podziwu dla ich kultury. Ubolewam z powodu kłopotów, dolegliwości i stresów, jakie są codziennym udziałem wielu moich polskich przyjaciół. Wydawało mi się, że poznałam je na tyle dobrze i potrafiłam sobie je wytłumaczyć, iż nie już nie może mnie zdziwić ani tym bardziej zniechęcić do Waszego uspaniałego jednak kraju. Tymczasem sposób, w jaki potraktował mnie i moich szwedzkich przyjaciół konduktor wagonu sypialnego w pociągu relacji Kraków — Lublin w dniu 3.04.89 (wyjazd z Krakowa o godz. 20.50), uchodziłoby w moim kraju za przejaw bandytyzmu tym gorszego, że dokonany przez urzędnika państwowego.

W dniu 3.04.89 wracałam z Krakowa do Lublina ze swoją znajomą ze Szwecji, będącą w ciąży, oraz z jej trójką dzieci w wieku od 7 do 14 lat. Nie chciałyśmy jechać samochodem ze względu na uciążliwość dla dzieci. Krakowskie kasy biletowe i Orbis nie sprzedawały już w południe miejsc sypialnych ani kuzetek, twierdząc, że ich nie ma. Mimo to udaliśmy się wszyscy na dworzec przed odjazdem pociągu. Wiedziałyśmy skądinąd, że konduktorzy często dysponują wolnymi miejscami mimo ich braku w kasach.

Na moje usilne prośby, tłumaczenia, że dzieci, że kobieta w ciąży, konduktor nieprawdopodobnie obcesowo zbył mnie twierdzeniem, że miejsc nie ma. Zlustrowałam przedziaty — miejsca były. Stałyśmy już kilkanaście minut na peronie, ze zmarzniętymi i dygotającymi dziećmi, bo akurat wieczór był bardzo mroźny, na co nie byliśmy odpowiednio ubrani...

Tymczasem przy drugiej próbie rozmowy pojawił się konduktor innego wagonu, który wiozł nas poprzedniej nocy z Lublina do Krakowa. Niezwykle uprzejmy i miły człowiek. Ujął się za nami i poczęł namawiać kolegę do sprzedania nam miejsc. Stałam z bokiem.

Znam wystarczająco dobrze język polski, żeby zorientować się, iż miejsca są, a rzecz idzie o to, ile dolarów (tak!) mamy zapłacić. Płonęłam, ze wstępu i goręczy przed swoją znajomą, bo czułam, że ona rozumie poni-

żenie wynikające z całej sytuacji.

Właściwy konduktor zażądał w końcu po 1 dolarze za miejsce. Zapłaciłam mu w sumie 4 dolary, tyle ile miałam w tej walucie przy sobie. Konduktor zachowywał się przy tym arogancko, obcesowo popychając przy wejściu dzieci, co spowodowało, że te przestraszyły się nie na żarty. Dopytywały, czy nie robi im krzywdy, czy nie pobije ich w pociągu, czy problem w tym, że żąda więcej pieniędzy.

W pociągu poprosiliśmy o herbatę. Otrzymałyśmy ją po długiej walce, podaną ordynarnie, z trzaskaniem drzwiami i z wrzaskliwym ostrzeżeniem, żeby dzieci przestały jeść słone paluszki, bo zabrudzą podłogę. Myślałam już tylko o tym, żeby jakoś ostrościć moją znajomą i dzieci przed tym osobnikiem. Czulałam się winna przed nimi.

O 4 rano dramat sięgnął jednak zenitu. Konduktor spowodował prawdziwy popłoch w przedziale. Pod pozorem budzenia trzasnął drzwiami, tarmosił.

Kiedy już dojechalismy do Lublina, poczekałam, aż wszyscy pasażerowie wyjdą z wagonu. Było ich pięciu, dosłownie pięciu na cały wagon! Wpadłam w furję. Zażądałam od konduktora nazwiska, jego numeru służbowego (byłam niegdyś świadkiem, jak polski pasażer żądał numeru). Oczywiście nie było mowy o ujawnieniu tych danych. Krzyczałam, że zrobię skandal. Wyszedłam z wagonu, kiedy konduktor ów wybiegł ze mną. Teraz próbował przeproszać. Chciał koniecznie zwrócić dolary, prosił, żeby nie robić skandalu. Posunął się nawet do pocałowania mnie w rękę.

Ta nieprawdopodobna metamorfoza z bandyty w lokaja spowodowała, że dosłownie zgłupiałam. Czegoś takiego w swoim trzydziestoletnim życiu nie widziałam. Wydawać by się mogło, że wszystko w porządku, że ów chrześcijanin coś w końcu zrozumiał.

Otóż nie. Nic nie jest w porządku. Dla mojej szwedzkiej znajomej, dla jej dzieci Polska jest chyba stracona. Nic już nie będzie w stanie wymazać tej „przygody”. Powiedziała mi, jak bardzo mnie podziwiała; ale też, że czuła się, jakby znalazła się w afrykańskim dzikim buszu, w którym bez przewodnika można natychmiast zginić.

Jest to osoba opiniotwórcza w swoim kraju. Nicstety. Tym razem — niestety.

Ann-Karin Myklebostad

Liczymy, iż odpowiednia DOKP ustosunkuje się do tej skargi.

(Red.)

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

Obóz Jeńców Wojennych „Nianda”, Komi ASSR, 21 października 1940.

Wczoraj nasza Brygada miała mieć nocną zmianę — od szóstej wieczorem do szóstej rano. Ale niedługo przed gongiem wzywającym do pracy wszedł do baraku brygadier Hołowko i powiedział: „Towarzyszy, oddychaj!”

Znaczyło to, że brygada chwilowo nie wychodzi na trasę, a na nocną szychę. Podszedłem, zdziwiony, do zastępcy brygadiera i pytam, co się takiego stało. Odparł: „Nie mam pojęcia. Brygadier poszedł do kantoru; jak wróci, to się dowiemy”.

Hołowko wrócił gdzieś po godzinie, taszcząc ze sobą pięć czy sześć burszlatów — długich wiatowanych kurtek. Jedną z nich wręczył mi. Jeszcze raz zacząłem rozpytywać się, dokąd i na jaką robotę idziemy. Kotylowski (gospodarz brygadiera) czy też może Kwinta z oszmińskiego, nieoficjalny zastępca Hołowki, któremu słowo „blad” nie schodzi z ust, wyjaśnił wreszcie: „Idziemy na stację kolejową ładować drewno na pociąg deputowanego”.

O dziesiątej wieczorem wszyscy jednakowo ubrani w burszlaty (dotąd zamiast burszlaty używałem płaszcza wojskowego) wyszliśmy za bramę obozu, niosąc siekiery i piły. Na czele maszerował brygadista Hołowko, a obok niego dziesiątnik.

Mieliśmy przygotować drewno opałowe dla parowozu i „tipluszek”, układając je w sterty koło toru kolejowego, bo wkrótce po północy spodziewano się przyjazdu na stację Urdoma pociągu pasażerskiego. Miał to być pierwszy pociąg pasażerski po związaniu budowanej linii kolejowej Kotlas — Workuta, co nastąpiło „po planu” — 10 października.

Pociąg, bijący z daleka luną żarówkę, ukazał się jednak na linii kolejowej dopiero około drugiej w nocy. Składał się z parowozu (zdaje się — 25 ton wagi) i z dwóch wagonów („tipluszek”). Przystanął naprzeciw sterty przygotowanego przez nas drzewa opałowego.

Brygadier krzyknął: „Ładować!” Było nas coś ze dwudziestu sześciu chłopów. Rzuciliśmy się do roboty. Jedni pakowali duże kłody palaczowi na tender, inni układali drobne polana przy piecach wagonowych.

Parowóz i cały pociąg był z zewnątrz i wewnątrz oświetlony lampami elektrycznymi. Na frontonie parowozu — portret Lenina. Po bokach — „lozungi” (transparenty) z hasłami i wykreśloną trasą kolejową nowo zbudowanego odcinka Kotlas — Ucha — Koźwa. Był to pierwszy pasażerski zestaw przebywający tę trasę, a zorganizowany z okazji wyjazdu z miasta stołecznego republiki Komi, Syktywkaru, deputowanego (zdaje się, że była to deputowana) na posiedzenie Wierchownego Sowietu w Moskwie w dniu 25 października. Deputowany jechał w towarzystwie licznej świty.

Kiedy ładowaliśmy drewno, niektórzy pasażerowie wyszli z „tipluszek”, żeby rozprostować nogi. Nie można było przepuścić okazji zagadnięcia kilku słów, poproszenia przy sposobności o gazetę. Złapałem jednego takiego w momencie, jak niosłem bierwiona do „tipluszki”: „Towarzyszc, imieciecie bumagu?” Chodziło o gazetę, a nie o jakiś tam papier. Z gazety można się wiele dowiedzieć. „A wy kto?” — pyta ten człowiek. „Ja wojennopłennyj. Paljak” — odpowiadam zgodnie z prawdą. Zdziwił się niepomiernie: „Niet, kakże, nam skazano, czto zdiest

rabotajut zakluczonyje!” „Smotri — mówię, rozpiąwszy burszlat — u mnie mundir!” Popatrzył, pokłiwał głową: „Da, da”. Dał papierosy, ale gazety przy sobie nie miał.

Za chwilę pociąg, po zaopatrzeniu w opał, ruszył w dalszą drogę do Kotlasu, unosząc mego przygodnego rozmówcę do Moskwy.

Świadomie wspominam tu o gazecie i o sposobie, w jaki zdobywaliśmy przygodne egzemplarze prasy. Gazet rosyjskich, stołecznych, w obozie nie można było dostać, chociaż był u nas klub „krasnyj ugołok”. Po prostu — komendantura nie dawała. A jeżeli nawet już czasem pojawiła się w klubie jakaś gazeta, było to wydanie miejscowe. Nam zaś zależało na dostaniu do ręki wydania stołecznego „Prawdy” lub „Izwestii”. (Choć niektórzy koledzy mawiali: „Po co ci to? I tak w „Prawdzie” niet izwestii, a w „Izwestjach” niet prawdy...”).

Pozostawała więc własna przemyślność. Terenem zdobywania gazet jest głównie stacja kolejowa. Prosi się przygodnego pasażera albo kolejarza zawsze w ten sam sposób: „Towarzyszc, imieciecie bumagu?” Ci, którzy pracują w kolejowej brygadzie „Snieżka”, mają stały dostęp do przejeżdżających pociągów, trzeba więc mieć z nimi zażyły kontakt. Inym terenem zaopatrzenia w gazety jest posesja Urdoma, dokąd nasi chłopcy z obozu jeżdżą po prowiant lub też zawożą tam inne prowianty z bazy wodnej na rzecze Wyczegda. Mam wśród tych „izwoczyczkow” sympatycznego kolegę, Justynę Sobolę. Ludność posesji to częściej Polacy pochodzący z Wołynia, których przywieziono tu na zsyłkę.

W czerwcu właśnie z tego posesiaka przyniósł ktoś do obozu gazetę, bo mu powiedziano, że są w niej jakieś ważne wiadomości. Dostałem tę gazetę do ręki wieczorem. Była zniszczona, częściowo porwana na papierosy, zmiecia. Przerzuciłem kilka stron. Mówię do otaczających mnie kolegów: „Paryż padł!” „Niemożliwe!” — woła Teos. Posmutnieliśmy wszyscy. „Tak tu napisane. Ale może to jakaś wiadomość na wyrost!” — sam się próbując pocieszyć. Była to, niestety, przykra prawda.

Wiadomość o upadku Paryża podziałała na nas przynębiająco, więc już dalej nie puszczaliśmy jej w kurs po obozie. Oczywiście, w końcu rzecz się rozważowała wśród ludzi i już wiedzieli wszyscy. Ale jakoś znieśli to dobrze. Każdy mówił: „Ale jednak ten skurwysyn Hitler w końcu padnie, jak się tyle nalyka!”

W podobny sposób co o Paryżu dowiedzieliśmy się o Petainie, o rządzie Vichy. Dawniej jeszcze, będąc w Zaporozżu, wiedzieliśmy o Dunkierce, o polskim korpusie ekspedycyjnym, o „marionetkowym” — jak podawały gazety — rządzie polskim we Francji. I chociaż te wiadomości były podawane w zgryźliwej formie, to jednak podnosiły nas na duchu bardzo, a bardzo. No i zarazem zadawały kłam ciąglemu podkreślanemu przez politruków, i nie tylko przez nich, że „Polszy niet i nie budiet”.

[Dopisek późniejszy:]

Na wiosnę 1941 r. przejeżdżał w dzień przez stację Urdoma pociąg pasażerski z Kotlasu na północ. Ponieważ pracowałem tego akurat dnia na stacji, wziąłem na sphytki pasażera, który wytoczył się właśnie z przedziału i zabawił w turystę, rozglądając ciekawie wokół. „Nrawitsia wam zdics, hec?” — zagadnąłem ironicznie. „A wy kto?” Mówił łamaną rusz-

czyną. Okazało się, że to Bułgar. Prezentował się elegancko, ubrany był po europejsku. Zebrala się wokół nas grupa kolegów, zaczęły się pogaduszki. Oczywiście, nie obyło się bez próby o papierosa. Bułgar wyciągnął paczkę, 20 sztuk bezustnikowych, i rozdał wokół. Pamiętam do dziś opakowanie. Paczka podobna do naszych „Rarytasów” śląskich. Na pudełku był obrazek: liść tytoniowy, na nim mapka Bułgarii i zaznaczona na niej fabryka tytoniu.

„Kuda wy jedziecie?” — pytaliśmy Bułgara, zdumieni jego obecnością tutaj, w tajgach. Okazało się, że to wolnonajemny inżynier bułgarski. Przybył tu na kilkuletni kontrakt, właśnie do republiki Komi. Po chwili nadszedł nasz brygadier i rozpedził rozmówców. Pasażer oddał tylko jeszcze pierwszemu z brzegu następną paczkę papierosów i wtoczył się do wagonu, „napompowany” błyskawicznie przez nas wiadomościami o czekającym go tu życiu. Jeszcze tylko zawołał: „A najwyżej wrócę z powrotem do kraju!”

Pocieszyliśmy go słowami: „Nie wierniosz, brat, na rodinu! Nie wierniosz!”

Obóz Jeńców Wojennych „Nianda”, 28 października 1940.

Dwa dni temu wydarzył się na trasie tragiczny wypadek! Wszyscy jesteśmy pod jego wrażeniem. Kilkanaście osób zabitych, wiele rannych. A wszystko — przez głupotę i nieodpowiedzialność obsługi towarowego pociągu, który wozi materiały potrzebne przy budowie linii kolejowej. Dwa towarowe wagony ładunkowe szynami, niezahamowane, spłynęły nagle w dół po torze i nabrały większej szybkości, zmasakrowały idącą mostem kolejowym brygadę „ślabo-silnych” Stanisława Stanka, kiedy szła właśnie po zakończeniu pracy do obozu. Kiedy wagony te leciały z hukiem i łomotem w dolinę rzeczki Nianda na tymczasowy most objazdowy, tych trzydziestu ludzi znajdowało się właśnie w środku mostu.

Po drodze dowieździeliśmy się o tej strasznej katastrofie. Czternastu ludzi zabitych na miejscu! Widziałem leżącego poza mostem Józefa Markowskiego z Poznania. Poznałem jego ciało z daleka po tym, że miał znany mi „kotielok” przypięty do paska. Leżał poza mostem, bo niektórych wagonów zepchnęły do rzeki. Most, jako tymczasowy, nie posiadał barier.

Najgorzej ucierpiał koniec brygady, ze strielkiem włącznie. On także zginął. Człowo, wraz z brygadierem Stankiem, było już dwa czy trzy kroki na moście, więc zostali tylko zrzućni z kilkumetrowego nasypu w dół po piasku, doznając niewielkich obrażeń albo jedynie szoku. Wśród nich znajdował się inżynier Bronisław Rappaport ze Lwowa.

Przechodząc przez most w pół godziny po wypadku, widziałem leżącą w jednym miejscu odciętą nogę z butem. W innym — odciętą rękę... Wszystko to było straszne, przerażające, nawet jak na tutejsze nasze warunki!

Postanowiłem zanotować nazwiska zabitych; może kiedyś rodziny w Polsce dowiedzą się, co się z nimi stało. Jakie są prawdziwe nazwiska tych ludzi, nie wiem, bo niektórzy występują w obozie pod zmienionymi nazwiskami. Może być też błędna pisownia ich nazwisk, ale notuję, co wiem:

Białkowski Jan z Będzina (podoficer zawodowy w stopniu sierżanta, przydziału wojskowego nie znam); Borus Michał; Cwalina Józef; Chmielewski Józef (młyniarz z flotyli pińskiej, zdaje się; podoficer zawodowy w stopniu bczmana); Jankiewicz Józef (nauczyciel kresowy, młody człowiek, zdaje się; podchorąży, wysoki, szczupły); Gorczyński Jan; Komorowski Jan (sierżant zawodowy z jednego z pułków piechoty kresowej, barczysty, wysoki, chodził zawsze w płaszczu wojskowym); Kościuszek Aleksander; Kirszbaum; Markowski Józef z Poznania (dobrze go mam w pamięci, niski, szczupły; Stefek Kaczyński z Ostrówca się z nim przyjaźnił; podobnie wyraźnie zachowuję w pamięci sylwetki Białkowskiego, Jankiewicza, Komorowskiego i Chmielewskiego; w przeddzień wypadku byłem u Komorowskiego w baraku i rozmawiałem z nim); Myszkowski Piotr; Swiderski Jan; Zaręba Jan; Zywicki.

Zabici oraz zmarli z odniesionych ran pogrzebani zostali przez nas, swych towarzyszy niedoli, w tajdze — tuż obok obozu.

(Koniec odcinka 11. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

CHOĆ dobrze włada piórem, a tego, co przeżył, starczyłoby na książkę — nie napisał jej. Wspomnieniami obdzielił innych. Jego świadectwa znalazły się w kronikach września 1939 i opracowaniach poświęconych konspiracji na Lubelszczyźnie. Za okładką jednej z takich książek, obok odroczonej dedykacji autora, znajduję ekslibris mojego rozmówcy. To zarazem jego najkrótsza biografia, która swój początek bierze w 1909 r. w podkrzeczonowskim Żukowie.

Na pierwszym planie ekslibrisu — rocznik „Gazety Świętecznej” i stojąca na nim naftowa lampa... Objaśnienie brzmi następująco: „Gazeta Święteczna” była naszym rodzinnym elementarzem. W każdą niedzielę ojciec — tak jak wielu tutaj, drobny rolnik — po powrocie z kościoła lub wieczorem przy świetle lampy naftowej głośno czytał nowy numer gazety. Całą piątką, to znaczy matka, trzy siostry i ja, słuchaliśmy różnych doniesień ze świata, ale z największym przejęciem opowiadań i baśni, w szczególności drukowanej w odcinkach powieści «W niewoli u Tatarów».

W tle ekslibrisu wyrysowana została fortyfikacja Ilży z wpisanymi w nią dwiema datami: 22 sierpnia 1914 oraz 8 września 1939. Zrządzeniem losu „w tym samym dołku” na przedpolach Ilży zakończyć mieli swoją wojaczkę: w czasie pierwszej światowej — ojciec, a w ćwierć wieku później — syn.

Pierwszy z nich, przymusowy żołnierz rosyjskiego pułku piechoty, tu trafił do austriackiej niewoli. Ponieważ brał udział nie w swojej wojnie, a w dodatku jako jeńiec-robotnik trafił do życzliwej mu czeskiej rodziny Karola Piekarka i szczęśliwie — w 1918 r. — powrócił do Polski, to Ilża nie kojarzyła mu się później z niczym szczególnie złym.

Inaczej było z synem. Walczył o Polskę, o której jeszcze niedawno gorąco i szczerze mówił swoim uczniom — dzieciarni ze Stawiec i Woli Studziańskiej. Toteż gdy on, zastępca dowódcy plutonu w 7 pp leg., otrzymał rozkaz „utrzymać stanowiska bojowe za wszelką cenę”, gdy przyszedł moment krytyczny, poderwał pluton do walki wręcz. W czasie ataku został ranny, lecz Niemcy odrzuceni zostali sprzed progów miasta. Było to pamiętne dla niego 8 września, właśnie na przedpolach Ilży. Szczęśliwym zbiegiem trafiał pod opiekę medyków i życzliwych ludzi, ale czas, w którym dojsz do zdrowia, okazał się dłuższy niż czas wrześniowej wojny.

Powrócił do Woli Studziańskiej.

— 6 lutego 1940 r. — wspomina — złożyłem powtórną w tej wojnie żołnierską przysięgę. Działo się to w Batorzu, a odbierał ją człowiek czcigodny, mający moje zaufanie. I to mi wystarczało, nie pytałem — bo i nikt wtedy o to nie pytał — jaki ma być kierunek polityczny. Wystarczyło, że oto powstaje organizacja do walki z wrogiem, że bliżej będą wiadomości z frontu.

Mój rozmówca nie buduje wokół siebie aureoli konspiracyjnego bohatera. Nawet gdy w 1943 r., pod wpływem literata i ludowca Józefa Nikodema Kłosowskiego, został komendantem Batalionów Chłopskich w gminie Zakrzew, nie stał się uczestnikiem wydarzeń, które — jak dziś mówi — przesądziłyby o losach wojny choćby w Kraśnickiem. Do zagubionych wśród pól i lasów wioskę Niemcy zagladali rzadko, a ich odległymi placówkami „opiekowały się” inne oddziały.

Komendant „Mochnacki” (taki przybrał pseudonim), mówiąc o konspiracji, wymienia: organizowanie oddziałów BCh (oczywiście, wkraczały do akcji przeciwko Niemcom samodzielnie oraz we współpracy z AK), popularyzację ruchu ludowego, rozwijanie spółdzielczości. Ale kiedy jesienią 1944 r. w gminie Zakrzew i w gminach okolicznych rozpoczęła się seria aresztowań dokonywanych przez NKWD, jego nazwisko znajdowało się na początku listy. Listy — wie to na pewno — przygotowanej przez byłych partyzantów, tyle że innego ugrupowania. Po parodniowych przesłuchaniach w areszcie UB w Białymostku trafił do zamkniętego na wzięcie kraśnickiego gimnazjum. Przesłuchania prowadzili oficerowie NKWD, skrupulatnie i metodycznie, bez uciekania się do fizycznej przemocy. Wyniki śledztwa przekazywane były stronie polskiej, która

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

A W PRZERWIE BYŁ ZAMEK

Zbigniew Miazga

suwerennie decydowała o losie aresztanta.

— Ja miałem szczęście — mówi mój rozmówca. — Wstawili się za mną byli partyzanci z BCH, należący teraz do milicji. Po kilku tygodniach aresztu wyszedłem na wolność. Rozwścieczyło to inną grupę milicjantów. upo-

belska) aresztowany został kolega, który zaproponował mu produkcję falszowanych dokumentów. Przyznał się on w śledztwie (zresztą zgodnie z prawdą), że kennkarty, pieczęcie i literatura znalezione w skrytce przy ul. Skłodowskiej są jego. Mimo to „Mochnacki” po czteromiesięcznym pobycie w areszcie wywieziony zostaje na Zamek,

regulaminu, bez specjalnego zniżania się nad więźniami. Plutonowy Jarzębowski, może dlatego, że jego żona była nauczycielką i bardziej od innych rozumiał moje potrzeby, dał się uprosić i przyrzekł przyniesienie do celi jakiejś książki z tych, które przysłała moja żona, a zatrzymał naczelnik Cholewa. Wybrał podręcznik do nauki języka rosyjskiego, ale wkrótce poprosił o jego zwrot. Plutonowy Partyka „wychowywał” nas, czyli prawil życiowe mądrości w rodzaju: „Z Bogiem i rządem nie wolno wojować”. Zapytany, kto wygra, gdy rząd prowadzi wojnę z Bogiem, odwracał się na pięcie. Służba więzienna, pochodząca z nabytku armijnego, zachowywała się już inaczej. Przekrzywiona na prawe ucho rogatywka oraz krzyki: „bystrej”, „skarej”, „dawaj wieszczy” świadczyły o władzy.

— Wspomniał pan o książkach. Z tego, co wiem, więźniowie polityczni mieli, choć ograniczone, prawo do korzystania z nich.

— Proszę pana, prawo stanowił naczelnik. Swego czasu oficer wizytujący więzienie wszedł do naszej celi. Wypytywał o sposób traktowania nas, jakość żywienia oraz czy otrzymujemy książki. Odpowiedziałem, że nie, a przysyłane z domu są rekwirowane. Obiecał interwencję, skończyło się jednak na słowach. Po pewnym czasie przeniesiony zostałem do celi nr 24, na pierwszym piętrze, w północnym skrzydle Zamku. Ciasnotą ogromną, na około 40 m kw. dreptało bądź siedziało pod ścianą około stu ludzi. Jałowe rozmowy, niektórzy grali w szachy zrobione z chleba. Drażniło mnie to bezpłodne spędzanie czasu. Postanowiłem działać. Na kawałku pakowego papieru napisałem do naczelnika więzienia: „Ponieważ mimo przyrzeczenia wydania książek, dotychczas nie otrzymałem żadnej do nauki własnej ze zbioru przysłanego mi przez żonę, z dniem 10 grudnia, na znak protestu, wstrzymuję się od przyjmowania pokarmów” i podpis. W czasie apelu pismo to podałem podoficerowi służbowemu.

Następnego dnia zostałem wywołany z celi „z rzeczami”. Strażnik zaprowadził mnie na trzecie piętro baszty i nic nie mówiąc, zamknął w zimnej celi; w jednym oknie nie było szyb. Aby nie zamarznąć, chodziłem w kółko całe popołudnie i całą noc. Rano drzwi się otworzyły, strażnik podniesionym głosem zapytał: „Będziecie jeść?” — „Nie!” — odpowiedziałem. Z trzaskiem zamknął drzwi i tego następnego dnia nie pokazał się. Na trzeci dzień strażnik zjawił się w towarzystwie żołnierza. Ten przyjrzał mi się i zapytał ironicznie: „Ile karabinów maszynowych znaleźli u ciebie?” Po odpowiedzi strażnikowi, że „nie będę jadł”, żołnierz wyniósł moje rzeczy na korytarz, a ja, już slaniając się, zostałem sam.

Nazajutrz doprowadzony zostałem do naczelnika więzienia, Cholewy. W kancelarii zastałem człowieka o pospolitym wyglądzie. Zagroził mi, że będę sztucznie karmiony, „co nie będzie przyjemne”. Odpowiedziałem, że upominam się w ten sposób o przysługujące mi prawo posiadania książek naukowych, zwłaszcza, że jestem studen-

tem KUL. „Książki będą wam wydane” — odrzekł w końcu. Musiałem jednak czekać jeszcze dwa tygodnie, zanim otrzymałem „Historię wychowania” Stanisława Kota, a później kilka innych podręczników. Całe dnie zgłębiałem dzieje szkolnictwa, programy. Pozwoliło mi to wyzwolić się z bezmyślności bytowania więziennego, zapomnieć o nędzy i poniżeniu.

— Czy może pan coś powiedzieć na temat egzekucji wykonywanych na Zamku?

— Bezpośrednim świadkiem, oczywiście, nie byłem. Natomiast gdy przebywałem w celi nr 9, pewnej nocy zbudził nas rozpaczliwy ryk ofiary wyprowadzanej na egzekucję. Nasłuchiwaliśmy jakiegoś zrozumiałego słowa — bez skutku. Znam relację lekarza obecnego przy jednej z egzekucji. W podziemiu Zamku wprowadzono więźnia o nazwisku Nazarewicz, pochodzącego z powiatu puławskiego. Urzędową asystę stanowili prokurator i ten właśnie lekarz. Po odczytaniu przez prokuratora wyroku wkroczyło czterech umundurowanych po wojskowemu ludzi. Na dany znak padły strzały w stronę więźnia. Lekarz po zbadaniu ciała stwierdził zgon. Krótki protokół wykonania egzekucji podpisał prokurator i lekarz. Ciało zabitego wywlezione i zakopano prawdopodobnie na „Kierkucie”.

Weźniejszej — jak opowiadali starsi więźniowie — egzekucje odbywały się w stoku wzgórza zamkowego, w pobliżu kaplicy. Wyrok wykonywał, czyli „dawał krawaty”, funkcjonariusz służby więziennej K. W czasie, gdy ja siedziałem na Zamku, pełnił on funkcję „spacerowego”, czyli nadzorcy grup spacerujących więźniów.

Gdy wynikła konieczność odkażenia naszej celi nr 9, przeniesieni zostaliśmy do jednej z trzech cel śmierci. Był to wąski pokój z kratami w oknie oraz z wmontowanymi w ściany żelaznymi kółkami, służącymi do mocowania rozpaczonych więźniów. Ściany pokryte były pseudonimami i nazwiskami oraz różnymi słowami pożegnań.

— Proszę, niech pan dalej opowie o sobie...

— Przewód sądowy wyznaczony został na 21 marca 1947 r. Więziennym samochodem dowieziono nas do gmachu „Pod Zegarem”. Do sali rozpraw nie zostaliśmy wpuszczeni. Oczekiwaliśmy na „coś” przed drzwiami. Po około godzinie wbiegł „z papierami” porucznik Urzędu Bezpieczeństwa. Za parę minut weszliśmy na salę sądową. Sędzia B. odczytał akt oskarżenia. Pytań żadnych nie było. Nietrudno domyślić się, że zarówno tekst oskarżenia, jak i wyrok były przygotowane gdzie indziej. Mój wyrok brzmiał: „Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie na podstawie art. 86 § 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego skazuje na 5 lat więzienia...” Koniec sprawy — powrót na Zamek.

Pod koniec maja 1947 wyprowadzony zostałem z celi na rozmowę. Zastałem młodego człowieka w wojskowym mundurze, który po wypyтaniu mnie o moje życie osobiste przed aresztowaniem, oświadczył, że będę zwolniony na podstawie amnestii. W miesiąc później wyszedłem na wolność...

WOCZACH siedzącego naprzeciw mnie osiemdziesięcioletniego mężczyzny pojawiają się łobuzerskie iskierki. Mówi:

— Wie pan, powinienem być właściwie wdzięczny NKWD i milicjantom, że wypłoszyli mnie z tej mojej Woli Studziańskiej. Gdyby nie oni, kibicowałbym tam do dziś. Jako nauczyciel z pewnością musiałbym biegać za kontyngentami, zakładać spółdzielnię produkcyjną. A tak skończyłem studia na KUL i drugie „studia” na Zamku; jako „trefnemu” odmawiano mi pracy. Poznałem więc smak życia...



jonych władzą i wódką. W porę ostrzeżony — szli już po mnie — bez pożegnania się z najbliższymi, przysnąłem do Lublina...

BYŁ listopad 1944. Już po niewielu dniach został studentem KUL. Podczas wykładów, a później w sublokatorskim pokoju przy ul. Skłodowskiej 30, z prawdziwą pasją oddawał się pedagogice (przed wojną ukończył Seminarium Nauczycielskie), psychologii, filozofii. Mrowie podobnych jemu pojawiało się na zajęciach, co dla prof. Henryka Jakubaniisa stało się okazją do stwierdzenia: „Prowadzę największe na świecie seminarium filozoficzne”.

Uciekinierowi z Woli Studziańskiej jeden z jego najbliższych kolegów ze studenckiej ławy zaproponował: „Dostaniez czyste blankiety kennkart i pieczęcie powiatowych starostw z »wronną«. Gdy zgłosi się ktoś do ciebie, przyniesie zdjęcia i poda hasło — ty mu zrobisz taki »poniemiecki« dowód. Zgodą?”

Obywatel „Mochnacki”, były aresztant NKWD, przystał. Pojawiali się więc w jego progu ludzie, o których wiedział jedynie to, że są „spaleni”; miał nadzieję, iż fałszywa kennkarta, którą kończył stemplować, pomoże im w zachowaniu wolności. Ta konspiracja (innej nie prowadził) trwała do świtu pewnego lutowego dnia 1946 r. Wtedy to do jego pokoju za przerażonym gospodarzem weszło dwóch cywili — Polaków oraz oficer NKWD. Ten ostatni stanął w drzwiach i przyglądał się rewizji przeprowadzanej przez cywili. Gdy wybebeszali biurko, oficer podbiegł i pewnie sięgnął do skrytki umieszczonej pod główną szafką. Byli tam kennkarty, pieczęcie, trochę konspiracyjnej literatury. Jeden z cywili nakazał aresztowanemu zabrać ciepłą odzież.

JUŻ w piwnicy przy ul. Krótkiej dowiedział się, że podczas „kotala” zorganizowanego przez UB w sklepie z kryształami przy pl. Litewskim (dziś mieści się tu Karczma Lu-

Tak opowiada swój pobyt w więzieniu:

— Po dwutygodniowej kwarantannie w dolnej części baszty, gdzie panowała niewyobrażalna ciasnota i zgiełk, odprowadzony zostałem do celi nr 9, znajdującej się na parterze prawego skrzydła Zamku. Na powierzchni 18 m kw. „mieszkało” około 30 więźniów. Po lewej i prawej stronie celi znajdowały się drewniane nary, pomiędzy nimi wąskie przejście w stronę okna. Na badania nie wzywano mnie. Dni były szare i nudne, ożywienie następowało w momencie zabierania któregoś ze współwięźniów na rozprawę sądową. Wracającemu ze sprawy udawało się prawie zawsze przemyścić do celi gazetę. Głośne czytanie przyjmowaliśmy jak dotknięcie wolności. Szczególnie lubiana była „Gazeta Ludowa” wydawana przez PSL Stanisława Mikołajczyka. W czasie czytania jeden z nas stał przy „judaszu”. Osobliwością naszego więziennego życia były tzw. „kipisze”, czyli nieoczekiwane wtargnięcia służby więziennej. Otrzymywaliśmy wtedy rozkaz natychmiastowego wyjścia na korytarz, po czym w celi odbywała się rewizja rzeczy osobistych więźniów, sienników i zakamarków w poszukiwaniu zakazanych druków, ołówków, noży. Gdy po takiej wizycie cela wyglądała jak „po bitwie”, był to dowód dobrze wykonanej roboty przez służbę więzienną. Pewnego razu kapral Mucha, rewidując więźnia — kapitana Nikszo, znalazł, ukryty w genitallach, cyjanek. Nikszo, były komendant Okręgu Lubelskiego WIN, spodziewał się kary śmierci; dlatego też — w jemu tylko znany sposób — zdobył truciznę.

— Proszę opowiedzieć, kim i jacy byli strażnicy więzienni?

— Wśród korytarzowej służby więziennej znajdowali się m. in. dwaj podoficerowie: plutonowy Jarzębowski i plutonowy Partyka; pracowali oni w więziennictwie również przed wojną i w czasie okupacji. Wypełniali swoje obowiązki zgodnie z wymogami

LISTY-POLEMIKI

„WSTRZĄS”

Nawiązując do artykułu pt. „WSTRZĄS” autorstwa redaktora Izabelli Wlazłowskiej, opublikowanego w numerze 9/89 „Relacji”, uważam, że treść tegoż artykułu w swej pejoratywnej wymowie o pracy funkcjonariuszy z Posterunku MO w Poniatojewie nie tylko ich dyskredytuje i godzi w dobre imię, lecz również w szerokich kręgach Czytelników podważa wiarygodność i rzetelność działań milicji obywatelskiej.

Zanim przystąpię do przedstawienia faktów (znajdują one pełne odzwierciedlenie w dokumentach procesowych i materiałach skargowych), pragnę poinformować Szanownych Czytelników, a Pani Redaktor przypomnieć o treści dwóch istotnych artykułów Prawa Prasowego, a mianowicie art. 10 i 12 tegoż Prawa. Stanowią one, że zadaniem dziennikarza jest służyć społeczeństwu i państwu, że ma on obowiązek zachować szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystaniu materiałów prasowych, że wreszcie przy czynnościach tych powinien kierować się pilnością, starannością i rozważnością, zaś nade wszystko w przedstawianiu wydarzeń winien być obiektywny. Jednostronna bowiem relacja zubaża wymowę treści, chyba że jedynym celem autora jest nie rzeczywiste, faktyczne wejście w określoną sytuację człowieka, jego zrozumienie, okazanie wyrozumiałości, lecz manewrowanie, w tym przypadku uczuciami 74-letniej kobiety, po to tylko, aby nadać temu, co się pisze, posmak sensacji.

Przejdę jednak do meritum sprawy: Obywatelka Helena W., zamieszkała w Poniatojewie Wsi, gm. Poniatojewo, jest, jak już wspominałam, 74-letnią kobietą, rencistką, znaną w miejscu swego zamieszkania chociażby i z tego powodu, że skłócona jest z niektórymi sąsiadami, między innymi z Ob. Lucjanem W., z którym toczy spory graniczne, oraz Józefem J. — ojcem Janusza J., funkcjonariusza Posterunku MO w Poniatojewie. Należy przypuszczać, że jest to jedną z przyczyn głębokiej antypatii, jaką żywi Ob. Helena W. do funkcjonariuszy miejscowego posterunku i którą wyraża w rozmowach prowadzonych podczas wizyt w WUSW w Lublinie oraz składanych skargach pisemnych.

W 1988 roku Sekcja Skarg i Wniosków WUSW w Lublinie zatwierdziła dwie skargi Ob. Heleny W., l. dz. AC-S-131/88 i AC-S-157/88. Niezależnie od tego wielokrotnie, zgłaszała się i nadal zgłasza się do WUSW, aby porozmawiać na temat spraw poruszanych w skargach. Ostatnio zaś, w bieżącym roku, spowinowacana z Heleną W. Ob. Maria W., zam. Poniatojewo, złożyła skargę, l. dz. AC-S-43/89, na niewyjaśnioną do końca w jej sprawie nagłą i tajemniczą śmierć jej ojca Mariana W. dniu 16 marca 1988 roku.

Skargi złożone przez Ob. Helenę W. zawierały takie zarzuty jak:

1. złożenie nieprawdziwych zeznań przed Sądem Rejonowym w Opolu Lubelskim przez funkcjonariuszy Posterunku MO w Poniatojewie, Janusza J. i Andrzeja C.,
2. tendencyjne przeprowadzenie dochodzenia w sprawie wypadku dro-

gowego, w którym uczestniczył Ob. Lucjan W. i Ob. Stanisław B., pomówienie jej o chorobę psychiczną przez funkcjonariusza RUSW w Opolu Lubelskim Ryszarda B., niewłaściwe przeprowadzenie czynności procesowych w sprawie śmierci Ob. Mariana W., co doprowadziło do tego, że nie ujęto sprawcy rzekomego zabójstwa.

Przeprowadzone wnikliwie postępowania wyjaśniające pozwoliły ustalić:

ad. 1. W wyniku zadawnionych sporów sąsiedzkich doszło do nieporozumienia pomiędzy Heleną W. i Lucjanem W. Lucjan W. zarzucił Helenie W., że zniszczyła na jego szkodę część zasiewu, i w związku z tym wezwał na interwencję funkcjonariuszy Posterunku MO w Poniatojewie. Na miejsce zdarzenia przybyli Janusz J. i Andrzej C. W czasie, gdy dokonywali oględzin zniszczeń, doszło do kłótni pomiędzy Lucjanem W. i Heleną W., podczas której Helena W. znieważała sąsiada. Lucjan W. skierował w tej sprawie skargę w trybie prywatno-skargowym do Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim i za świadków podał funkcjonariusza MO. Po przeprowadzonej rozprawie Sąd uznał oskarżoną winną i skazał na karę 6 miesięcy pozbawienia wolności, zawieszając jej wykonanie na okres 2 lat. Pretensje Heleny W. co do zeznań funkcjonariuszy są bezprzedmiotowe, gdyż jedynym organem kompetentnym do ich oceny jest Sąd.

ad. 2. W dniu 18 kwietnia 1988 roku doszło do zderzenia motocykla prowadzonego przez Ob. Stanisława B. z ciągnikiem, którym kierował zięć Lucjana W. W wyniku wypadku Stanisław B. doznał obrażeń ciała. Prowadzone w tej sprawie postępowanie przygotowawcze zostało umorzone prawomocnym postanowieniem Prokuratury Rejonowej w Opolu Lubelskim z dnia 3 września 1988 roku (syg. akt Ds-362/88) wobec braku cech przestępstwa. Zaden z uczestników wypadku nie składał zażalenia na to postanowienie. Jedynie Ob. Helena W. jest niezadowolona z wyniku dochodzenia i upatruje w nim tendencyjności ze strony funkcjonariuszy MO tylko dlatego, że w wypadku brał udział zięć Ob. Lucjana W.

ad. 3. Wyjaśniając skargę l. dz. AC-S-157/88, stwierdzono, że funkcjonariusz RUSW w Opolu Lubelskim w dniu 13 lipca 1988 roku udał się do miejsca zamieszkania Ob. Heleny W. w związku z jej wcześniejszą skargą (l. dz. AC-S-131/88); pytając przypadkowo napotkanych mieszkańców wsi o wymienioną, publicznie poddał w wątpliwość jej stan psychiczny. Szefer RUSW uznał, że funkcjonariusz Ryszard B. dopuścił się nietaktu w czasie pełnienia obowiązków służbowych i obraził tym Ob. Helenę W. W związku z powyższym WUSW w Lublinie uznał za obowiązek przeprosić Obywatelkę, co też uczynił.

ad. 4. W dniu 7 marca 1988 roku do Szpitala Miejskiego w Poniatojewie został przywieziony na Oddział Chirurgiczny Marian W. lat 56. Rozpoznano u niego stłuczenie mózgu i pnia mózgu oraz krwiak podtwardówkowy prawostronny. Mimo intensywnego leczenia i przeprowadzenia trepanacji czaszki Marian W. zmarł w dniu 16 marca 1988 roku. W tym też dniu o zgonie Mariana W. został powiadomiony właściwy miejscowo Posterunek MO w Poniatojewie. Zawiadomienie lekarza o zgonie pacjenta przyjął ówczesny Komendant Posterunku MO w Poniato-

wej. W ciągu dwóch dni, tj. 16 i 17 marca 1988 roku, przesłuchano 7 osób, w tym najbliższych członków rodziny zmarłego, a także i inne osoby mogące wnieść cokolwiek istotnego co do okoliczności doznanych obrażeń.

Z treści tych czynności wynikało, że obrażeń głowy Marian W. doznał w dniu 6.III.88 około godziny 10.15 w mieszkaniu swego sąsiada Józefa K. Przyszedł do niego, aby się ostrzyż. Po ostrzyżeniu Marian W. wstał z krzesła, ruszył w kierunku drzwi, nagle przystanął i upadł na plecy uderzając głową w drewno do palenia, a następnie w podłogę. Józef K. z pomocą przywołanego sąsiada umieścił Mariana W. w swoim łóżku. Z zeznań świadków jednoznacznie wynika, iż w chwili krytycznego zdarzenia Marian W. był nietrzeźwy.

Mnie osobiście wydaje się być dziwna reakcja najbliższej rodziny (syna Stanisława i żony Zofii Heleny W.), którzy mimo powiadomienia przez Józefa K. o złym stanie zdrowia ich ojca i męża, przychodząc dwukrotnie do Józefa K. nie czynią nic, aby mu pomóc — przetransportować do swojego mieszkania lub wezwać pomoc lekarską. Należy dodać, że w tym czasie Marian W. był jeszcze przytomny i rozmawiał z synem Stanisławem. Dopiero następnego dnia, tj. 7 marca 1988 roku, gdy stan zdrowia zaczął się pogarszać i nastąpiła utrata przytomności, rodzina jego zdecydowała się wezwać pogotowie ratunkowe. Zebrane w sprawie materiały przekazane zostały do Prokuratury Rejonowej w Opolu Lubelskim. Prokurator, uznając, że w przyczynach obrażeń, jakich doznał Marian W., a które doprowadziły do jego zgonu, nie było działania osób trzecich, odstąpił od sporządzenia sekcji zwłok i postanowieniem z dn. 29.03.88 r. umorzył postępowanie wobec niestwierdzenia przestępstwa (syg. akt Ds-235/88).

Na postanowienie to żona Mariana W. — Zofia Helena W., w dniu 15 kwietnia 1988 roku złożyła do Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie zażalenie wraz ze skargą, podnosząc nowe okoliczności doznania obrażeń przez jej męża. Zażalenie uwzględniono i postanowieniem z dn. 18 kwietnia 1988 r. Prokurator Rejonowy w Opolu Lubelskim podjął na nowo umorzone dochodzenie. Jego kontynuowanie zlecił Posterunkowi MO w Poniatojewie, a w dniu 30 sierpnia 1988 r. wszczął śledztwo i przejął sprawę do własnego prowadzenia.

Przesłuchani świadkowie, w tym i wnioskowani przez skarżącą, nie wnieśli do sprawy nic nowego, a większość z nich o rzekomym pobiciu Mariana W. przez inne osoby dowiaduje się od rodziny denata.

Prokurator, przychyłając się do wniosku pełnomocnika skarżącej, zasięgnął opinii z Zakładu Medycyny Sądowej AM w Lublinie w sprawie mechanizmu powstania obrażeń głowy. Ponieważ zdaniem biegłego ZMS AM historia choroby okazała się być niewystarczająca, dokonał w dniach 23 i 24 listopada 1988 r. ekshumacji i sekcji zwłok Mariana W. Prokurator Rejonowy wnosil również o przeprowadzenie dodatkowych badań czaszki i części szynnej kręgosłupa. Do chwili obecnej brak jest przedmiotowej opinii ZMS AM odnośnie mechanizmu powstania obrażeń głowy u Mariana W. Opinia w przedmiotowej sprawie ma zostać opracowana w miesiącu kwietniu br.

Po przeanalizowaniu akt śledztwa stwierdzić należy, iż czynności wykonane w tej sprawie przez funkcjonariuszy Posterunku MO w Poniatojewie nie nasuwają żadnych uwag ani pod względem formalnym, ani merytorycznym.

Kończąc chciałabym poinformować Szanownych Czytelników oraz Panią Redaktor, że wszelkiego rodzaju skargi, składane na nieprawidłowości w działaniu funkcjonariuszy MO, rozpatrywane są z niezwykłą skrupulatnością i rzetelnością. Z każdym niemalże rokiem odnotowujemy spadek ilości skarg oraz spadek potwierdzalności zarzutów w nich zawartych. Konsekwencją każdej potwierdzonej skargi były wnioski wynikające z ustaleń postępowania wyjaśniającego, a każdy ujawniony w skardze problem pociągał za sobą stosowne działania organizacyjne, wychowawcze lub szkoleniowe — bo wiem przestrzegana się ściśle zasady, że żadna potwierdzona skarga nie może zakończyć się samym tylko usatysfakcjonowaniem jej autora.

Rzecznik prasowy szefa
WUSW w Lublinie
kpt. mgr Anna Dubel

INFORMATOR
KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

IV LUBELSKA WIOSNA TEATRALNA
(Teatr im. J. Osterwy).

Prezentacją adaptacji „Dzieci Arbatu” Anatolija Rybakowa, w wykonaniu aktorów Teatru Dramatycznego im. Lenińskiego Komsomolu Białorusi z Brześcia, rozpoczęła się tegoroczna Lubelska Wiosna Teatralna. Udział w niej zapowiedziało 10 teatrów krajowych i zagranicznych. Z tych ostatnich, oprócz wyżej wymienionego, wystąpi węgierski Gardonyi Geza Szinhasz z Egeru, który zaprezentuje „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza i „Wspomnienie o dwóch poniedziałkach” Arthura Millera. Z teatrów polskich przyjazd do Lublina zapowiedziały między innymi: Teatr STU z Krakowa, Teatr Dramatyczny z Warszawy oraz Teatr Współczesny z Wrocławia.

Inaugurująca Wiosnę adaptacja Garolda Bodykina „Dzieci Arbatu” to opowieść o pokoleniu młodych ludzi, których zniszczył system stalinowski. Bardzo plastycznie pokazane zderzenie dwóch przeciwstawnych sobie porządków — praw jednostki, jej potrzeby dobra, sprawiedliwości i piękna z „moralnością władzy” opartą na przemocy, zakłamaniu i gwałcie nadanym ludzkiej naturze — nadaje temu utworowi niezwykłą sugestywność i świeżość.

W dniach 30.04—1.05 aktorzy Teatru STU z Krakowa zaprezentują słynną amerykańską sztukę obyczajową Edwarda Albee’ego „Kto się boi Wirginii Woolf?”. Przedstawienie to było wystawiane na ubiegłorocznych przeglądach teatralnych w Szczecinie i w Rzeszowie. „Samobójca” — to satyryczna komedia Nikolaja Erdmana, która zaprezentują aktorzy Teatru Współczesnego z Wrocławia (3.05—5.05). Jest to sztuka, w której dominują elementy politycznej i obyczajowej satyry, jest to także dramat egzystencjalny przeciętnej człowieka żyjącego w czasie, w którym nie ma miejsca dla takich jak on. Reżyser, Jerzy Jarocki, rozpoczyna sztukę w tonacji obyczajowego skeczu, który rozwija się niemił w historiozoficzny poemat i egzystencjalny dramat. Sztuka była prezentowana na XIX Warszawskich Spotkaniach Teatralnych.

Teatr Lalki i Aktora

29.04 godz. 17 (premiera), 30.04—1.05 godz. 12, 2.05—3.05 godz. 10: „Ural Batory” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.

Teatr Muzyczny

29.04 — występy gościnne w Ostrowcu Świętokrzyskim: „Baron cygański”.

W CHELMIE

27.04—29.04 godz. 17 (WDK): „Portret” Sławomira Mrożka w wykonaniu aktorów Teatru im. J. Osterwy z Lublina. Reż. Jacek Andrucki.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 27.04 godz. 19 — recital brazylijskiego pianisty Neyza Salgado.

28.04 godz. 19, 29.04—30.04 godz. 18 — koncert z cyklu „Henryk Debich zaprasza”. Zaproszeni goście to: Anna Jaremska (sopran), Kazimierz Kowalski (bas) i Bohdan Giergieł (skrzypce). W programie: znane arie operetkowe, operowe, musicalowe oraz utwory Straussa, Offenbacha, Czajkowskiego. Orkiestra PFL dyryguje Ryszard Komorowski.

Licium Muzyczne (Manifestu Lipcowego 10) — recital niemieckiego pianisty Geralda Fautha.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988”

— wystawa pt. „Portret w twórczości medallerskiej i numizmatycznej Ewy Olszewskiej-Borys”.

Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnnie w siedzibie „Desy” Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć”.

Muzeum Lubelskie (sala wystawowa w Bramie Krakowskiej) — wystawa poświęcona historii esperanta na Lubelszczyźnie 1887—1944.

BWA (ul. Narutowicza 4): — międzynarodowa poplenerowa wystawa rzeźby pt. „Dotykając materii — Orońsko '89”.

— wystawa fotografii Zygmunta Rytki pt. „Obiekty chwilowe”.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby, instalacji i dokumentacji (artyści z Norwegii).

Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.

Galeria „Pod Akacją” (ul. Grodzka 11) — wystawa rysunku satyrycznego Leszka Mędrali.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Stanisława Popka.

Galeria WDK (ul. Podgrodzie 3) — wystawa fotografii Jerzego Wierzbickiego.

Galeria „Srodek” (ul. Klepury 5a) — wystawa rysunku Ireneusza Wolińskiego.

Galeria „Kunt” (ul. Zana 11) — wystawa prac Marka Jakuszewskiego.

Galeria „Biała” (ul. Pstrowskiego 12) — wystawa prac młodych pt. „Biała wiosna”.

Oprac.: A. W.

REKWIZYTY DLA „PROVISORIUM”

Teatr „Provisorium” zwraca się z uprzejmą prośbą do wszystkich, którzy posiadają niepotrzebne ubrania (garnitury, koszule, kapelusze, buty, laski itp.) oraz drobniaki charakterystyczne dla okresu przedwojennego i lat pięćdziesiątych (opakowania po artykułach spożywczych, butelki itp.), o przekazanie tych przedmiotów na rzecz Lubelskiego Studia Teatralnego (ul. Grodzka 32/34), tel. 275-83 w godz. 9—15). Rzeczy te wykorzystane będą jako rekwizyty w kolejnym przedstawieniu Teatru „Provisorium”, znanego widzom w kraju i za granicą ze swych głośnych przedstawień („Dzielnictwo”, „Wspomnienia z domu umarłych” i in.).

A. W.

**Chcesz utworzyć spółkę,
firmę zagraniczną
lub zrobić dobry interes?
ZGŁOŚ SIĘ DO MERITUM**
Lublin, Krakowskie Przedmieście 49/2
tel. 205-58 od 10 do 16

TV

Czwartek 27 kwietnia Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Ośmiornica” (7) — serial sensacyjny prod. wł.
10.15 Domator: To się może przydać
15.55 Program dnia. Dt — wiadomości
16.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie.
W przerwie ok.
17.15 Teleexpress
18.05 Radar — wojskowy magazyn filmowy
18.20 Sonda: Przemiany
18.50 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Ośmiornica” (7 — ostatni) — serial sensacyjny prod. wł.
20.50 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
21.00 Socjalizm tak — ale jaki? — spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim
21.30 Pegaz
22.20 Wokół wielkiej sceny
23.10 Dt — echa dnia
23.30 Język francuski (26)

Program II
16.55 Język francuski (26)
17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górę
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Strachy na Lachy” (5) — serial anim. prod. ang.
19.30 Rewelacja miesiąca: Giuseppe Verdi „Nabucco” cz. 2
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne „Dwójki”: „Szpital” — film prod. USA
23.25 Komentarz dnia

**Piątek
28 kwietnia
Program I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Ciocia Marusia” cz. I — film fabularny prod. radz.
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Intersygnal — magazyn krajów socjalistycznych
16.25 Dla młodych widzów: Rambat — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie
18.10 Skarbiec
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Kino muzyczne Lucjana Kydryńskiego: „Gigi” — film muz. prod. USA
21.50 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
22.00 Czas — magazyn public.
22.35 Szkoła mistrzów — Kazimierz Kutz
22.55 Dt — echa dnia
23.10 Superwizja

Program II
16.55 Język angielski (55)
17.25 Program dnia

17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” (17) — serial TVP
19.30 Dookoła świata: W szkole przeżycia i przygody
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Malarstwo jest radością — w pracowni Barbary Szubińskiej
22.00 Filmy Johna Hustona: „Skarb Sierra Madre” — film prod. USA. Wyk.: Humphrey Bogart, Walter Huston, Tom Holt i in.
0.10 Komentarz dnia

Sobota 29 kwietnia Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fraggles” — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Kołobrzeg zaprasza — program rozrywkowy
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.55 Gra o milion (1) — rozwiązanie
12.45 Wędrowki dalekie i bliskie: „Droga wojownika” i „Sztuka pustej dłoni” — filmy dok. prod. ang.
13.25 Gra o milion (2) — finał '88
13.55 Telewizyjny Teatr Prozy: Krystyna Wituska — „Mój piękny dzień urodzin”. Reż. Andrzej Brzozowski.
15.00 Gra o milion (3) — laureat roku
14.35 Komedie, komedie, komedie: „Poszukiwany — poszukiwana” — film prod. pol.
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Maria Rutkiewicz” — film dok. Mai Wójcik
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Wiosna
19.30 Dt
20.05 „Słodko, gorzko” — film fab. franc.
21.45 Tydzień w polityce
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.25 Program rozrywkowy
23.25 Dt — wiadomości
23.30 Jutro w programie
23.35—1.10 Klub sensacji: „Znikający punkt” — film fab. prod. angielsko-amerykańskiej

Program II
11.30 Trzy godziny z Telewizją Katowice
14.30 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.55 Powitanie
15.00 „Ordy” — film dok. prod. japońskiej
15.25—16.30 Telewizyjne wydanie miesięcznika „Wiedza i Życie”
15.25 Gra w inteligencję (1)
15.35 Historia bomby atomowej
15.45 Superkomputery
15.50 Spotkanie z Maciejem Ilowieckim
16.05 Dlaczego Deyna strzelał „rogale”
16.15 Inteligentne rośliny
16.25 Gra w inteligencję (2)
16.30 „Tajniki przyrody” — serial dok. prod. ang.
17.00 „Tancerz” — program TV angielskiej z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Szansa — teleturniej
19.30 Alfa i Omega: Na zegarze biologii
20.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie
21.00 Kuba: Hawana — reportaż Tadeusza Kraški
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chłopczyca” (2) — serial fab. prod. franc.
23.15 Komentarz dnia
23.20—23.30 „W labiryncie” (17) — serial fab. TVP (powt.)

Niedziela

30 kwietnia Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Szwajcarscy Robinsonowie” (25) — serial przygodowy prod. kanadyjskiej
10.30 Dt — wiadomości
10.30 „Opowieści Puszczy Augustowskiej”: „Przebudzenie” — film dok.
11.00 Kraj za miastem
11.30 Jak to się robi: Obrazki z planu zdjęciowego — śpiewa Ewa Gawrońska
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.55 Sto lat temu: Z dziejów święta 1 Maja — program publicystyczny
13.15 Teatr Młodego Widza: Janusz A. Zajdel — „Kontakt”
13.55 „Ogniem i mieczem”
14.25 Morze — magazyn publicystyczny
14.50 Marek Sierocki zaprasza
15.10 „Ogniem i mieczem” (2)
15.40 „Katarzyna” (5) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.00 „Ogniem i mieczem” (3)
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Hoover przeciw Kennedym” (2) — fabularyzowany dokument prod. kanad.
21.05 Raport: Siedem dni
21.15 Sportowa niedziela
22.15 „Sławne kobiety i ich czasy” — odc. 1 pt. „Josephine Baker” — serial dok. prod. franc.
23.10 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.15 Dt — wiadomości
23.20 Jutro w programie

Program II
9.15 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.50 „Hoover przeciw Kennedym” (2) — fabularyzowany dokument prod. kanad. (dla niesłyszących)
10.50 Od Bałtyku do Tatr — wojskowy program dok.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbową” (2) — serial przygodowy prod. ang.
13.15 100 pytań do...
13.15 „Polacy” — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Życie codzienne w starożytnym Egipcie” (1) — serial dok. prod. ang.
15.35 Jerzy Maksymiuk. Romeo i trzy Julie — reportaż
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko”
17.10 Aktualności kulturalne: Jubileusz Towarzystwa im. Fryderyka Chopina
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Reportaż
19.30 Galeria Dwójki: Jacek Baszkowski (malarz)

20.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie
21.00 Piwnica pod Baranami (1)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” (7) — serial prod. USA
22.35 Piwnica pod baranami (2)
23.05—23.10 Komentarz dnia

Poniedziałek

1 maja Program I

7.50 Program dnia
7.55 Dt — wiadomości
8.00 Transmisja uroczystości 1-majowych w Moskwie
9.00 Transmisja uroczystości 1-majowych w Warszawie
11.00 Z polskiej fonoteki
11.35 Tadeusz Trepcowski — film dok. Franciszka Kuduka
12.00 Teatr dla dzieci — Aleksander Czekanowski, Maciej Kosiński „Raz swawolny Tadeuszek”. Reż. Aleksander Czekanowski
13.00 Świat cyrku '89
14.25 „Bobek — czyli jedenaście wcieleń Bogumiła Kobieli” — film dok. Grzegorza Lasoty
15.50 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie
17.15 Teleexpress
17.30 „Małżeństwo z rozsądku” — komedia prod. pol.
19.00 Wieczorynka: Pani Miedzianej Góry
19.30 Dt
20.30 Teatr Telewizji: Jan Potocki „Parady”. Reż. Krzysztof Zaleski. Wyk.: Piotr Fronczewski, Ewa Dalkowska, Marek Kondrat, Grzegorz Wons.
21.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (mecze finałowy)

Program II
12.20 Powitanie
12.30 Studio sport: Puchar Wiosny w akrobatyce sportowej
13.10 „Pociąg poza rozkładem” — film prod. ZSRR
14.25 Konkurs — reportaż z konkursu na spikerkę
14.40 „Dziki i piękny” — film dok. prod. franc.
16.05 „Wspomnienie” — Leopold Staff
16.40 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
17.20 Koncert muzyki rockowej
18.00 Program lokalny
18.30 Hot and neon — program rozrywkowy
19.30 Krakowie prastary... — program o odnowie zabytków Krakowa
20.00 „Uwaga, dokument”
20.45 Z batutą i z hómorem
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Emil Zola. czyli ludzkie sumienie” (5) — serial prod. franc.
22.35 Komentarz dnia

**Wtorek 2 maja
Program I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (5) — serial obycz. prod. CSRS
10.35 Domator: Rady na życzenie
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Wspólna Polska, wspólne sprawy
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (29) — serial animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę” (1) — „Egzotyczne przypadki” — serial obycz. prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka

18.50 Dobranoc: Dwa małe trzmielce
19.00 10 minut
19.10 Od A do Z „W jak waluta” — program public.
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (5) — „Kryzys” — serial obycz. prod. CSRS
21.00 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
21.10 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.35 Flesk (2) — program o balecie, tańcu, dyskotekowym i tańcu towarzyskim
22.10 „Wielki statysta” (1) — dokument fabularyzowany o Hugo Kollajtaju. Reż. Marian Kubera
23.05 Dt — echa dnia
23.25 Język angielski (26)

Program II
16.55 Język angielski (26)
17.25 Program dnia
17.30 Szokujące nowości. Uprogu sztuki współczesnej” (8) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Non stop kolor: „Rolling Stone — dwadzieścia lat rock and rolla”
19.30 Studio sport — magazyn alpinistyczny
20.00 „Epopeja Czerwonego Krzyża” (4 — ostatni) — „Na wszystkich frontach świata” — serial dok. prod. szwajcarsko-francuskiej
21.00 Powtórka z historii — Wanda Wasilewska
21.30 Panorama dnia
21.45 „Krew i honor” (3) — „Rok 1938” — serial obycz. prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

Środa

3 maja Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Lubęzi śpiew” — film fab. prod. węgier.
10.50 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia. Dt — wiadomości
16.15 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Scena TDC — reportaż
16.50 Cojak — teleturniej dla dzieci
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia: Konstytucje w państwach socjalistycznych — program public.
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.10 „Mazurek Dąbrowskiego” — film dok.
18.50 Dobranoc: Plastusiowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Program publicystyczny

19.30 Dt
20.05 „Z soboty na poniedziałek” — film fab. prod. pol.
21.00 Kto, jak, kiedy, dlaczego?

21.10 Raport
21.40 „Wielki statysta” (2) — dokument fabularyzowany o Hugo Kollajtaju

Program II
16.55 Język rosyjski (27)
17.25 Program dnia
17.30 Program publicystyki kulturalnej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Szlakami króla Stasia” — film dok. Grzegorza Dubowskiego
19.30 Dom Roga — reportaż Michała Fajbusiewicza
20.00 Nie tylko muzyka: Wieczór w operze
21.00 Mój teatr — portret aktorki: Irena Jun
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się” odc. serial krym. TVP
22.55 Telewizja nocą
23.40 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska.
Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadestanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 625. 14.04.89. B-4.

POLSKIE GOSPODARSTWO

ZABRAĆ BIEDNYM, ABY DAĆ BOGATYM (4)

Andrzej W. Pawluczuk

KIEDY na ulicach naszych miast królowały niepodzielnie „warszawy”, „syreny” i „trabanty”, a jedyną konstrukcją Volkswagena był nieśmiertelny (produkowany od roku 1937) tzw. garbus, po Lublinie zaczął jeździć tajemniczy samochód półciężarowy. Pamiętam go doskonale, chociaż jako studenta polonistyki bardziej interesowały mnie książki niż technika. Ale tego samochodzika nie sposób było nie zauważyć; był tak inny od tego całego muzeum, które jeździło wówczas po Polsce. Wyróżniał się najpierw lekko różowym kolorem, potem sylwetką. Miał nowoczesną, przeszkloną szoferkę (wówczas nie mówiono „kabiną”), a jej wnętrze — wtedy! — bardziej przypominało kabinę w samolocie niż w ciężarówce „star” czy „lublin”. Dlaczego tak dobrze, ze szczegółami, zapamiętałem ten samochód? Po prostu dlatego, że w żadnym calu nie pasował on do tego, co znajdowało się wokół niego; przeciwnie — wydawał się jakby z innego, lepszego świata.

Mówiono wówczas, a był to koniec lat sześćdziesiątych, że oto narodził się następca przestarzałego, nieekonomicznego „zuka”. A przyszło czekać jeszcze całe 20 (słownie: dwadzieścia) lat, zanim lubelska FSC mogła wziąć się za masową produkcję nowego modelu. Ze znakomitego reportażu Andrzeja W. Małachowskiego („Przegląd Tygodniowy”, nr 15 z 9 kwietnia br.) dowiaduję się, że potrzebna była na to decyzja rządowa. Dziwi mnie bardzo, że rząd decyduje o tym, jaką konstrukcję samochodu można produkować w danej fabryce. Ale nie o tym chcę dzisiaj mówić, bo — zgadzamy się — co kraj, to obyczaj, i jeżeli rząd rządzi dobrze, to nie miałbym nic przeciwko temu, aby decydował nawet o tym, jakiego kształtu jaja mają znosić kury w Łęcznej, a jakiego — w Zamościu.

Szkopuł polegał wczak na tym, że wszystkie po kolei rządy od roku 1968 do dnia 7 lutego roku bieżącego decydowały w ogóle nie chciały. Inżynierowie i robotnicy FSC wymyślali i konstruowali co rusz nowy model następcy „zuka”, ale żaden rząd przez całe dwadzieścia lat nie potrafił zdobyć się na jakąkolwiek decyzję. Parafrazując imię pana Cieciszowskiego z Gombrowiczowego „Trans-Atlantyku”, rzec by można, iż każdy rząd nie był na tyle... hm, nierozsądny, żeby w dzisiejszych czasach, „cokolwiek decydować albo nie decydować”. I pragmatyka sfer decydenckich podpowiada, że podejście takie jest jak najbardziej pożyteczne (oczywiście nie dla kraju, ale dla tego, kto nie decyduje). Oto bowiem kierownik jakiejś firmy, jeżeli był pozbawiony stanowiska, to nie dlatego, że nie decydował. Przeciwnie: zawsze dlatego, że jego decyzje nie podobały się innym decydentom.

Ale dosyć tej dialektyki polskiego gospodarstwa, która w swoich felietonach wyłożyłem chyba dokumentnie. Najważniejsze, że nie jesteśmy jedynym krajem na Ziemi, a czas nie stoi w miejscu, bez względu na to, co mówią odnośnie ustawy i co myśli się o wyższości Święta Pracy nad świętem Bożego Narodzenia. Toteż przez owe dwadzieścia lat naszego niedecydowania decydowali ci, którzy mają gorszy ustrój, ale za to lepsze samochody. W fabrykach Fiata, Renaulta, Mercedesa, Forda i Citroena skonstruowano półciężarówki, jako żywo przypominające owe lubelskie cudo sprzed lat dwudziestu. Skonstruowano i skierowano do masowej fabrykacji, i te zgrabne samochodziki widać także na polskich drogach.

Dwadzieścia lat temu mieliśmy okazję i szansę ich wyprzedzić, wejść na zagraniczne rynki, zarobić, a przede wszystkim — uruchomić łańcuch takich przyczyn i skutków, które przy-

noszą wymierne korzyści. Znana to bowiem prawidłowość, że jedna udana konstrukcja pociąga następną, bo ludzie, którzy widzą sens swojej pracy, pracują coraz lepiej. I nie jest to tylko kwestia pieniędzy, stanowczo — nie! Wynalazca, konstruktor, uczony skłonny jest nawet do swojej pracy dokładać (jak twierdził profesor Marian Mazur), byle tylko pozwolono mu robić to, co kocha. I właśnie ten stosunek do pracy, wbrew zapisowi ustawy zasadniczej i ustaw pomniejszych, był skutecznie niweczony. Wystarczy poczytać w polskiej oficjalnej prasie artykuły o gehennie polskiego wynalazcy, by wiedzieć, że jego wynalazkiem interesuje się co najwyżej pies z kulawą nogą.

A skutek takiego niedecydowania? Jaki jest koń — widzi każdy. Zamiast nowoczesnego i ładnego samochodu, mamy wciąż archaicznego „zuka”, mało wydajne, mało sprawne, mało ekonomiczne auto o ładowności do 900 kilogramów, spalające 12—15 litrów benzyny na każde sto kilometrów. Ile zaoszczędziłaby polska gospodarka, gdyby od dwudziestu lat jeździły lepsze półciężarówki? Zapytajmy inaczej: ile byśmy zaoszczędzili jako społeczeństwo, gdyby rządy w PRL zajmowały się tym, do czego powołany jest każdy rząd w każdym normalnym kraju, czyli — sprawnym administrowaniem majątkiem narodowym?

Zapewne można to obliczyć, a i sądzę, że liczby byłyby co najmniej tak szokujące, jak obliczenie Stanisława Albinowskiego, że marnujemy 60 procent wydobywanego w kraju węgla. Toteż uważam, że nie można tej sprawy zostawić bez dalszego ciągu. Ów minister, ów pełnomocnik, ów radca stanu czy przewodniczący, który nie decydował, choć miał zadecydować, powinien zostać postawiony w stan oskarżenia jako szkodnik i sabotażysta, gdyż przysporzył krajowi nieobliczalnych strat. Bolesława Bieruta rozliczyć dzisiaj łatwo, chociaż możemy go ukarać jedynie infamią i zdjęciem z cokołów. Ale cóż umarłemu po naszej zemście? Dlatego proponuję, aby dobrać się do skóry tym, którzy szkodzili, a cieszą się dzisiaj niezłą kondycją materialną. I jeżeli stanie się to obowiązującą praktyką, to może wreszcie ci, co decydują, będą decydować dobrze, pożytecznie, z korzyścią dla kraju i obywateli.

KTO JEST KIM W REGIONIE

GOLAL Czesława. Lat 50. Mężatka. Dwoje dzieci: syn Jacek — żonaty z Czeszką, córka Dorota. Trzydzieści dwa lata przepracowała w jednej firmie — LSS „Spolem”. Od 1972 roku jako pierwsza w Lublinie prowadziła zawodowe szkolenie uczniów. Kierowała wielkimi placówkami handlowymi. Od 1986 roku — kierowniczką największych lubelskich „Delikatessów” przy Krakowskim Przedmieściu. Kilkakrotna finalistka „Kurierowego” konkursu na Lubliniankę Roku.

Ceni przede wszystkim pogodę ducha, wzajemną tolerancję, uczciwość i prostolinijność. Nie znosi zakulisowych rozgrywek, „podchodów”, międzyludzkiej przepychanki.

GRZEŚKOWIAK Kazimierz. Lat 48. Żonaty. Żona Elżbieta. Córka Natalia. Studiował filozofię na KUL. Dziennikarz, piosenkarz, kompozytor. Zadebiutował w 1965 roku na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu (nagroda za debiut). W roku następnym główna nagroda za piosenkę „Odmieniec”, a w 1967 nagroda dziennikarzy. Koncertował w RFN (brał udział w otwarciu piłkarskich Mistrzostw Świata 1974), Szwecji, Francji, USA, NRD, Czechosłowacji. Przez wiele lat związany z zespołem „Silna grupa pod wezwaniem”. W tym roku ma wystąpić w Opolu z recitalem.

Za sposób na życie uważa traktowanie wszystkiego (z wyjątkiem własnej osoby) poważnie. Jest optymistą, jednym z tych nielicznych, zadowolonych z życia ludzi. Jeśli tylko nie będzie gorzej, powinno być lepiej. Od dawna nie pisze tekstów o chłopach — samo życie daje im wystarczająco mocno po tyłku.

KUKIER Henryk. Lat 59. Żonaty. Żona Irena. Córki: Bożena i Ewa. Bokser. Trener bokserki. Od 1947 roku, jeszcze jako uczeń II LO im. J. Zamojskiego, zaczął uprawiać sport; najpierw piłkę nożną, potem boks. W 1948 roku zdobył tytuł mistrza Polski juniorów. Od 1950 roku reprezentant Polski. Trzydzieści pięć razy zakładał koszulkę z białym orłem (dwadzieścia pięć zwycięstw). Uczestnik pięciu mistrzostw Europy i trzech olimpiad (Helsinki 1952, Melbourne 1956, Rzym 1960). Dwukrotny mistrz Europy (Warszawa 1953, Berlin 1955). Wicemistrz świata juniorów (Berlin 1951). Stoczył w swej karierze ponad trzysta walk, przegrał zaledwie dwadzieścia. Od 1960 roku trener II-ligowej Avii Świdnik, potem Lublinianki, wreszcie Górnik Knurow. Wychowawca mistrzów (Petek, Kliś).

Za sposób na życie uważa naukę i pracę. Także umiejętność docenienia tego, co się aktualnie posiada. Wzloty i upadki zależą bowiem w większości od samego człowieka.

CZTERY KRESKI

[— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981 o kontroli pub. literatury i widowisk, art. 2 pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm. 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)].

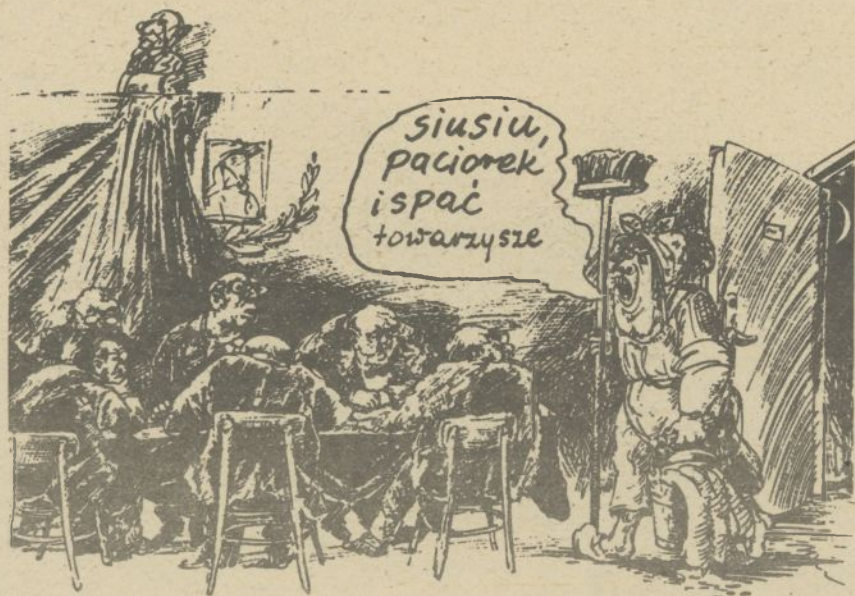
Tekst powyższy powstał przed kilkoma laty i ze względu na ówczesne przyczyny obiektywne nie był przeznaczony do druku. Ot, pisywałem sobie takie kawałki, zawsze w jednym egzemplarzu, po to, aby — jak mawiał Stefan Bratkowski — nie stracić kondycji — i wyłącznie dla własnej satysfakcji. Były to na ogół „michalki”, choć zdarzały się i formy większe. Do największych należała bez wątpienia metrowej wysokości inskrypcja „PUSCZA WAŁĘSĘ” zamieszczona gdzieś w połowie 82. na płocie okalającym poligon.

Jakie powody skłoniły mnie do grzebania w starych papierzyskach? Dwa. Primo, wieść niesie, że — przynajmniej w niektórych wydawnictwach — zaniknie zjawisko cenzury przedwstępnej, warto zatem pewien historyczny czas udokumentować. Secundo, jesienią ubiegłego roku obejrzałem wystawę rysunków Antoniego Chodorowskiego. Szczególnie spodobał mi się następujący rysunek (rys. 1).

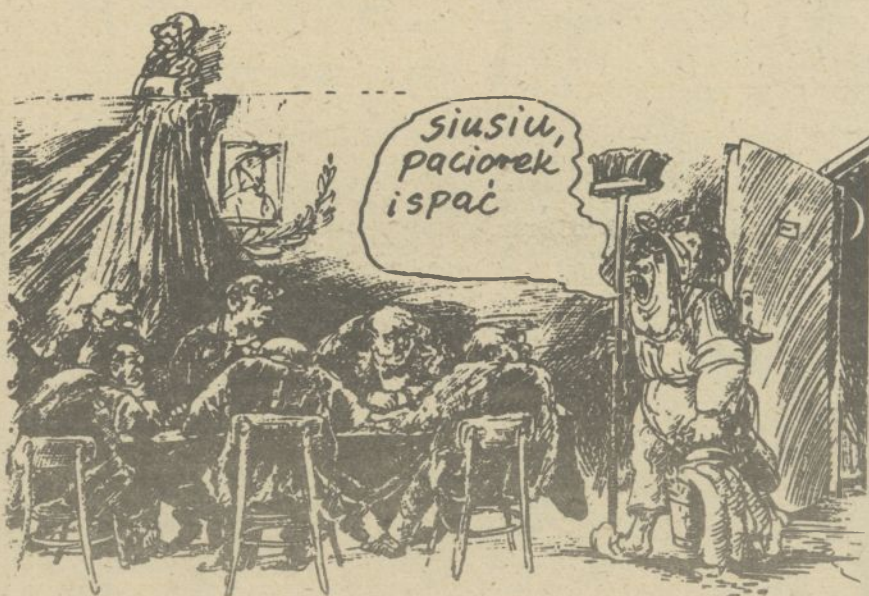
Kilka dni temu zauważyłem w księgarni albumik Antoniego Chodorowskiego „Bez słów” (Sztuka Polska, Warszawa 1987). Jest w nim i rysunek, który tak mi się spodobał. Ale trochę jakby inny (rys. 2).

Państwu proponuję zabawę podobną do tej, którą od lat bawi nas „Przekrój”. Proszę przyjrzeć się obydwu rysunkom i znaleźć dziesięć szczegółów, jakimi się różnią.

Michał Zieliński



Rysunek 1



Rysunek 2